

**Licealiści o exposé premiera Rakowskiego (str. 2); Łączna: wspomnienia i teraźniejszość (str. 3,4); Helikopter — karetka reanimacyjna (str. 5); Złoto zakopał morderca? (str. 6-7); Zdrajca z AK (str. 12); Dynie i czarownice (str. 14); „Z bękartem nikt nie chciał usiąść w ławce” (str. 16)**

### Uwaga szkoły!

W następnym numerze „Kamień” ukażą się interesujące teksty mogące stanowić pomoc w nauczaniu najnowszej historii Polski.

Wiesław Śladkowski pisze o źródłach i drogach do niepodległości, a Jan Lewandowski snuje swe refleksje o lubelskim rządzie Ignacego Daszyńskiego.

Ponadto na uwagę zasługuje artykuł Wiesława Horabika na temat 70-lecia KUL-u oraz reportaż tegoż autora z pewnego spotkania koleżeńkiego.

PL ISSN 0137-7108 Nr Ind. 362514

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamień

NR 22 (920)

30 października 1988

Cena 35 zł



Zakończył się IV Międzynarodowy Konkurs Młodych Skrzypków w Lublinie. Oto zwycięzcy w grupie starszej (16—19 lat): Monika Jarecka (Polska) oraz Qing Zhong i Hui Jin (ChRL). Tekst o konkursie zamieszczamy na str. 9. Fot. Mirosław Trembecki

## Przed wizytą w Polsce

# Pani Thatcher

Wiesław Horabik

**K**ARIERA Margaret Thatcher przybiera coraz bardziej spektakularne wymiary. Jej niekonwencjonalne, bezkompromisowe działania, jej logika „absolutnego sukcesu” przyciągają bezustannie uwagę międzynarodowej opinii publicznej. Jej wpływ na życie Brytyjczyków przerasta konwencjonalny cykl sprawowania rządów przez danego premiera. Czy możemy już zatem mówić o „epoce thatcheryzmu”? Termin ten, od dawna obecny w odczuciach obiegowych, zaczyna coraz częściej przenikać także do publicystyki politycznej.

Pani Thatcher jest najdłużej w XX wieku sprawującym władzę premierem Wielkiej Brytanii. Niedawno wyprzedziła w tym względzie Herberta Asquitha, zbliżyła się do rekordu lorda Palmerstona i innych długowiecznych szefów rządów z ubiegłego stulecia. W całej tej sprawie mniej jednak chodzi o czas, a więcej o metodę. Kiedy w 1979 roku pani premier wprowadzała się na Downing Street 10, Anglia przeżywała okres zapaści. Przez kraj przetaczały się strajki, morale Brytyjczyków

Dokończenie na str. 10—11

**P**EWIEN król zastał Polskę drewnianą, a pozostawił murowaną, co potomni uznali za perłę w koronie jego chwały. Dzisiaj mamy Polskę betonową, kanciastą, kwadratową i podłużną, co z kolei jakby denerwuje rodaków.

Budowlane inicjatywy średniowiecznego władcy nie dotyczyły oczywiście wiosek czy przysiółków, gdzie bardzo długo, bo aż do schyłku lat pięćdziesiątych XX stulecia, dominowały chałupy drewniane, kryte ciepłym kożuskiem strzechy. Taki pejzaż omszały, malowniczy acz staroświecki, spędzał sen z oczu sternikom powojennej transformacji ustrojowej, architektom i straży pożarnej. Wedle tych gremiów drewniany dom zwieńczony słomą kompromitował wymarzony model „unio socialis perfecta”, oparty na dwóch fundamentach: egalitaryzmu społecznego i nowoczesnej cywilizacji technicznej.

Politycy i ekonomiści chcieli zbudować nową Pol-

# Beton nad ruczajem

Ireneusz J. Kamiński

skę: trwałą, solidną, betonową.

Wyobrażenia architektów o nowoczesności budowlanej kształtowały paragrafy międzywojennej Karty Ateńskiej, idee naszej awangardy z kręgu grupy „Praesens” oraz albumy z fotografiami realizacji Le Corbusiera, Waltera Gropiusa czy Mies van der Rohe. Z tej świeżej tradycji

wynikało przesłanie, że architektura powinna być ekonomiczna, funkcjonalna, geometryczna, podporządkowana standaryzacji i typizacji, organizowana matematyką, a nie narodowym czy regionalnym sentymentem. Duch lat popaździernikowych recytował hasło 3 M: Miasto — Masa — Maszyna, zredagowane niegdyś przez Tadeusza Peipera.

Chłopi też mieli ochotę, by zamienić chałupy na murowańce, a tym samym zbliżyć się do miejskiego stylu życia, do miasta, które przez kreatorów zbiorowej wyobraźni wyniesione zostało do rangi Absolutu, co zresztą z czasem doprowadziło do wyludnienia wsi i degradacji gospodarczej rolnictwa. Jeśli już chłop nie mógł zamieszkać w prawdziwym bloku, to

zwawo podejmował się wystawienia czegoś takiego na własnym gumnie — choćby w jednorodzinnej miniaturze, która owszem, polepszała nie tylko jego samopoczucie, ale i warunki egzystencji.

Politycy, ekonomiści, architekci i rolnicy utworzyli więc coś w rodzaju budowlanego frontu jedności narodu, który osłatecznie sponiewierał pejzaż wiejski, odbierając mu przestrzenną, stylistyczną i semantyczną tożsamość.

Dziś trudno odróżnić wioskę od wioski, a nawet od wielkomiejskiej dzielnicy domów jednorodzinnych.

Wszystko jest podobne do siebie i tak samo beznadziejne, jak człowiek bez charakteru.

Ten proces umożliwiło i stymulowało centralne planowanie — fałszywy i despotyczny demiurg różnorodnych mitologii powszechnej szczęśliwości.

Dokończenie na str. 5



13 X. Z godzinnym opóźnieniem przybył premier Mieczysław F. Rakowski na swą pierwszą konferencję prasową. Przybył bezpośrednio z posiedzenia Sejmu, którego obrady nieco się przeciągnęły. Relację z konferencji zamieszcza prasa, obszernie sprawozdania ukazywały się w radiu i w telewizji, opinia publiczna została więc dostatecznie poinformowana. Ze swej strony obawiam się jednak, że premier może nieco przecenić swoje siły. Siły fizyczne. Dwie godziny na stojąco po tak wyczerpujących dniach? No, cóż! Odniosłem też wrażenie, że pytania niektórych dziennikarzy były dość naiwne. Rozumiem, że ten i ów chciał, aby uchwyciła jego twarz kamera, ale starczyło przecież czasu, chociażby w trakcie oczekiwania na premiera, aby lepiej się zastanowić przed uniesieniem w górę ręki.

Dopisuję 20 października. W „Szpilkach” interesujący tekst Głabińskiego (nie ma imienia?) pt. „Mietek”. Autor pisze m.in.: „Mam nadzieję, że za Twojej prezesury w Radzie Ministrów będzie można o premierze wreszcie po ludzku i po prostu pisać. O premierze i o pozostałych panach z Twojego zespołu. Tak, żeby wszyscy byli nam nieco bliżsi, nieco mniej dalecy, nieco bardziej przystępni z ich ludzkimi sprawami, kłopotami, lekturami, z ich strachem i radością”.

Podzielim tę nadzieję! „Szpilki” przypominają też wypowiedź M. F. Rakowskiego na temat karykatury zamieszczonej w katalogu Muzeum Literatury, wydany z okazji jego dziesięciolecia. „Należę — pisze MFR — do zwolenników karykatury politycznej, choćby najostrzejszej, bowiem potrafi ona więcej powiedzieć o człowieku aniżeli niejeden sążnisty artykuł. Dobry karykaturzysta potrafi w wielkim skrócie oddać wnętrze człowieka, na którego nastrzył swój ołówek. Są karykatury, które na pierwszy rzut oka dowodzą, że ich autor jest świetnym psychologiem. Wyznam szczerze, że taki facet jest niebezpieczny, ponieważ potrafi u swej ofiary odkrywać skrzętnie chowane przez nią przed publicznością swoje myśli i nastroje. Nie sądzę jednak, że polityk powinien bronić się przed karykaturzystą-psychologiem. Między innymi dlatego, że karykatura nie musi być tłumaczona na obce języki. A zatem można ją traktować jako środek komunikowania się między ludźmi, należącymi do różnych narodowości, rozmawiającymi różnymi językami”.

W naszej powojennej rzeczywistości nie mamy nadmiaru karykatur sterników życia państwowego i politycznego. A te, które są, bardziej przypominają... fotografie. Sądzę, że M. F. Rakowski zapalił kolejne zielone światło. Ze swej strony czekam na karykatury („czekaj tatka latka?”) jeźdźców lubelskich. Jak spadać, to z wysokiego konia — zapowiedział premier w swym exposé. Ale trenować można i na kucyku...

17 X. Jak sięgam pamięcią, nigdy nie pożyczałem pieniędzy Stefanowi Szaflikowi. I bardzo dobrze, bo mogłoby się zdarzyć, że kol. Szaflik rozpisalby wśród swojej rodziny referendum, pytając, czy ma oddać Jaworskiemu dług, czy też nie. Wcale nie żartuję! Stefan Szaflik jest redaktorem naczelnym dwutygodnika „Głos Budowlanych” w Lublinie. Kiedy na lamach tego pisma zamieszcza swe zdjęcia z urlopu pod hasłem „Ostatnie reminiscencje mijającego lata”, na których uwiecznia zabytki Budapesztu czy Pragi, mogę się tylko usmiechnąć pobłaźliwie, choć, jak sądzę, czytelnik „Głosu” wolałby zapewne oglądać nie starocie, nawet najpiękniejsze, ale budownictwo współczesne. (Może by nawet było to pouczające). Trudno mi jednak się usmiechać, kiedy niemal całą kolumnę druku (w przeliczeniu) zajmuje, i to wydrukowany garmondem, artykuł wstępny kol. Szaflika pod tytułem: „Zwołać referendum w sprawie długów”. W artykule tym czytamy: „Dla uzyskania właściwego i jednoznacznego mocnego poparcia w podejmowanych działaniach nowy rząd powinien rozważyć, czy nie ogłosić ogólnonarodowego re-

ferendum w sprawie dalszego sposobu i warunków spłaty długów zagranicznych w stosunku do krajów i ich organizacji finansowych, które w praktyce poparły restrykcje wobec Polski. [...] Rząd po uzyskaniu pozytywnych wyników referendum mógłby ogłosić memorandum do wszystkich wierzycieli w sprawie nowych warunków spłaty zadłużenia [...] Jeśli strony nie podejmą negocjacji w określonych terminach, można by podjąć jednostronną decyzję o zamieszczeniu dalszej spłaty zadłużenia. Może stworzymy mimowolnie precedens w międzynarodowych stosunkach ekonomicznych? [...] Sądzę, że gdyby nowy rząd zdecydował się na ogólnopolskie referendum w sprawie spłaty długów, to zyskałby na starcie sympatię i wdzięczność całego narodu. Frekwencja przy urnach raczej też będzie zagwarantowana...”.

Kilkakrotnie wertowałem ten tekst, przecierając oczy ze zdumienia. Czy kol. Szaflik naprawdę nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie reperkusje dla naszego kraju i jego stosunków z zagranicą miałyby już samo ogłoszenie takiego referendum? Czy rzeczywiście chciałby, abyśmy się stali swolnym (mówiąc delikatnie) skansenem Europy? Nawet Albania wyciąga ostatek wnioski ze swej długotrwałej izolacji, a tu, w Lublinie, publicznie proponuje się, abyśmy szczerze odgrodzili się od świata pokazując mu jedynie tyłek i łó goly, w dodatku.

Nie pozostaje mi teraz nic innego, jak tylko czekać na kolejne reminiscencje kol. Szaflika. Życzylbym mu jednak, by raczej (we własnym zresztą interesie) korzystał z aparatu fotograficznego niż z długopisu. Blysk flesza ma inny wymiar niż blysk umysłu!

22 X. Pod tytułem: „Powrót Wiktora Zawady” L. Gnot zamieszcza w dzisiejszym Magazynie „Szt. L.” recenzję z książki tegoż autora pt. „Łącznik z puszozy”. Wszystko byłoby fajnie, gdyby nie fakt, że książka ta ukazała się przed dwoma laty, a więc tempo reakcji rzeczywiście imponujące! Mam więc nadzieję, że Leszek sięgnie i po moje „Drewniane szable” — do dziesięciolecia pierwszego wydania jeszcze trochę czasu pozostało.

23 X. Kilkakrotnie nadała dzisiaj telewizja oświadczenie rzeczniika rządu, Jerzego Urbana, w sprawie niespodziewanych trudności, które wyłoniły się przed zwołaniem „okrągłego stołu”. Rząd nie zmienia swego stanowiska, konsekwentnie dąży do spotkania i nie chciałby, aby różne „techniczne szczegóły” torpedowały to mądre przedsięwzięcie. Rzecz jednak w tym, że żadna ze stron nie może dyktować warunków wstępnych. Wiadomo, że opozycja w naszym kraju jest bardzo zróżnicowana politycznie, powinna jednak obowiązywać gra fair. Uliczne manifestacje, podburzające hasła, próba tworzenia faktów dokonanych, wiece, różnego rodzaju proklamacje — wszystko to nie sprzyja wielkiej sprawie porozumienia.

Nie będę mówił za kogoś, ale przecież człowiek obraca się w towarzystwie różnych ludzi i widzi, że obiegowe pojęcie „władza — społeczeństwo” odbiega od rzeczywistości. Jakże dobrze zostało przyjęte przemówienie ministra przemysłu, Mieczysława Wilczka, wygłoszone na Krajowej Naradzie Aktywu Robotniczego w „Ursusie”! Akurat miałem w domu gości, on i ona kiedyś należeli do „Solidarności”. Słuchali tego wystąpienia ministra w TV dosłownie z wypiekami na twarzy. A później mój znajomy powiedział: „Zaczynam wierzyć, że temu rządowi Rakowskiego coś się wreszcie uda. Przecież Wilczek mówi tak, jak ja myślę i nie boi się określić mianem głupoty działań swych poprzedników”. Jego małżonka dodała jednak sceptycznie: „Sam minister niczego nie zwojuje, jeśli nie zrobi porządku w swoim resorcie...”.

Dodałem, że min. Wilczek nie wygląda na takiego, który dałby się załaskać.

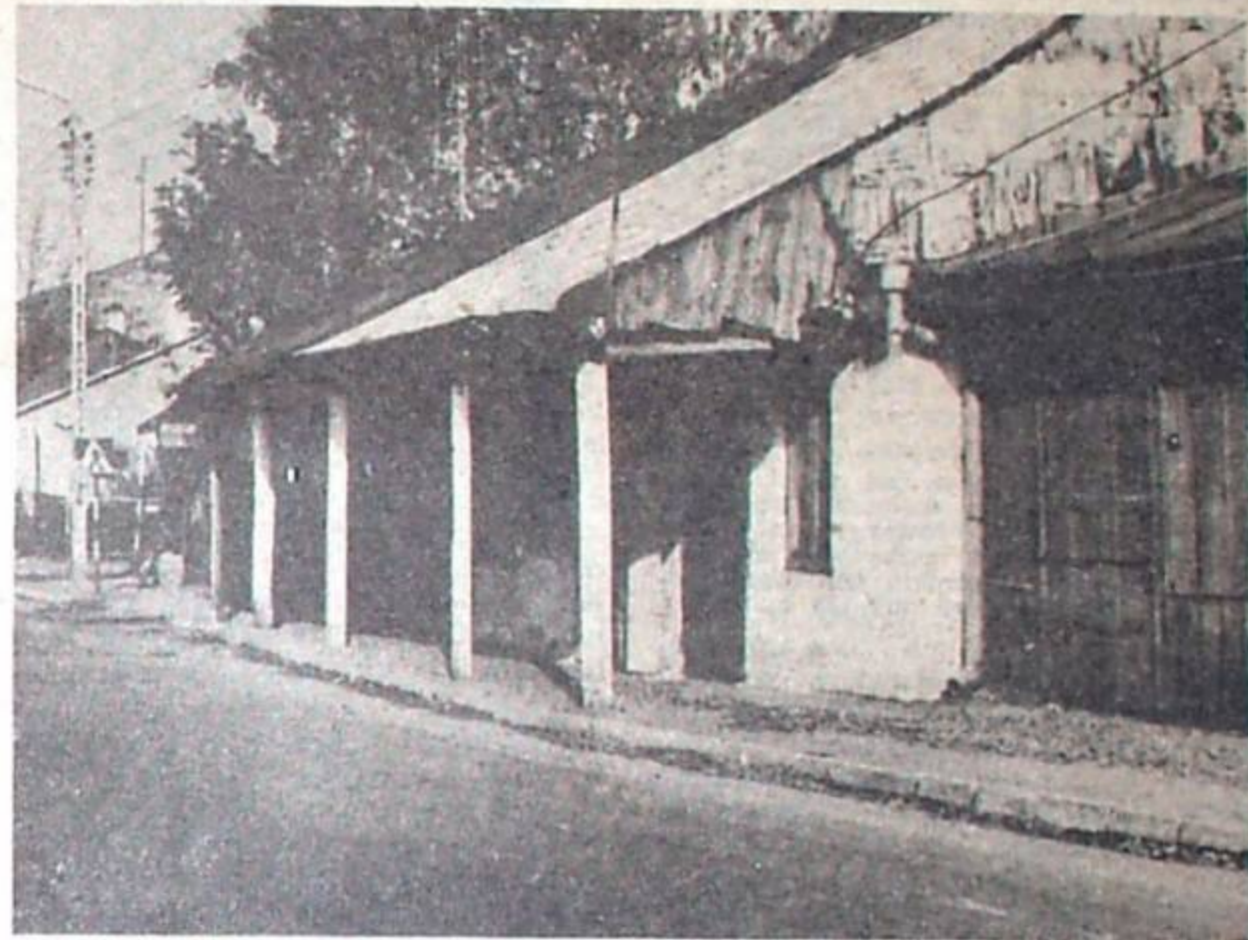
„Samo nazwisko na to wskazuje” — usłyszałem w odpowiedzi. Wypiliśmy za jego zdrowie pół litra żubrówki.

M. A. Jaworski

## Łączna: wspomnienia i terażniejszość

Andrzej W. Pawluczuk

Napisał do mnie mieszkaniec Łącznej, że wyidealizowałem przedwojenny obraz miasta. Łączna nie była schludna, czysta i zadbana, jak wynikałoby z mojego reportażu. Przeciwnie: tonęła w błocie, a było to błoto szczególnego rodzaju. Składało się nie tylko z ziemi i wody, ale także z końskich i bydłych odchodów, moczu i gnojówki, która wypływała z chlewików, jakie znajdowały się przy każdym domostwie. To wszystko było wymieszane, rozjeżdżone przez furmanki, rozdeptane przez konie i spędzane na jarmarki zwierzęta. Nierzadko gubiono w tej mazi buty. Mój korespondent pisze, że kiedy goniony kiedyś z łupem złodziej chciał przebiec rynek na ukos, ugrzązł po kolana w lepkiej mazi i trzeba go było wyciągać.



Takie domy zwano „podtasami” i stały one przy wszystkich główniejszych ulicach.

Fot. Andrzej W. Pawluczuk

**D**ZISIEJSZA ulica Partyzantów nazywała się przed wojną Zielona, ponieważ to błoto miało specyficzny, zielonkawy odcień. Aby przejść w miarę suchą nogą przez taką ulicę, kładziono na niej drewniane kłody, zwane trepami. Było to więc raczej nie chodzenie, a skakanie i widok łącznińskiej ulicy w słoty dzień był zapewne zabawny. Dodajmy do kompletu, że to błoto także miało swój specyficzny zapach. Nie było więc przyjemnie żyć w Łącznej — kończy swój list pan N. i prosi, abym napisał o tym gwoili prawdzie.

A więc piszę. Czy naprawdę jednak przesadziłem? Swoją relację oparłem na opowiadaniach mieszkańców przedwojennej Łącznej i starych fotografiach. Zapomniałem wszak, że zdjęcia robiono zwykle przy ładnej, słonecznej pogodzie, kiedy miasto rzeczywiście robiło przyjemne wrażenie. Po drugie, powinienem wiedzieć, że pamięć jest przecież selektywna. Człowiek, któremu dobrze się w życiu wiodło, pamięta zazwyczaj to, co było najpiękniejsze; tak jak ludzie, którzy mieli szczęśliwe dzieciństwo, bywają przekonani, że w ich młodych latach zawsze świeciło słońce.

Najlepszym jednak sposobem utrwalenia przeszłości Łącznej byłoby mądre prowadzenie muzeum. Ale i w tej mierze miasto na węglu straciło. W dalszym ciągu — niestety — obowiązują tutaj słowa, jakie dwadzieścia lat temu napisał w znakomitych „Szkiecach z prowincji” Wojciech Wiczorek: „Słabością miasteczka jest to, że w Łącznej nikt nie stawia na Łączną”. W roku 1975, kiedy ówczesnym władzom miasta wydawało się, że wraz z węglem zlapały Pana Boga za nogi, Muzeum Regionalne prze-

mianowano na Muzeum Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Licząca sobie pięćset lat Łączna i ziemia łącznińska o tradycji osadniczej sięgającej siódmego tysiąclecia przed naszą erą zostały pozbawione możliwości udokumentowania swojej długiej historii.

To tak, jakby kogoś pozbawiono pamięci, kazano mu zapomnieć własnego nazwiska oraz wyprzeć się rodziców i dziadków, a w zamian zmuszono do nowego życiorysu. Być może, ludziom, którzy przyjechali tutaj pracować w kopalni, jest wszystko jedno. Oni zresztą nie chodzą po zaułkach starej Łącznej, nie rośli tutaj od dzieciństwa, nie ganiłi za piłką po starych podwórkach, nie biegali nad przepięknym Wieprz, w którym wtedy można było się kąpać. Pamiętka przeszłości są niepotrzebne także tym, w których pamięci zapadło, że w Łącznej było zawsze słonecznie i czysto. Ta pamięć potrzebna jest jednak naszej kulturze i społeczeństwu po to, aby zachować osobną, polską tożsamość. Abyśmy pozostawali nadal odrębnym narodem, który posiada nie tylko własne narzecze, ale własną sztukę, własną i właściwą sobie przestrzeń, własną i właściwą sobie tradycję. Pomyślmy bowiem: wśród setek polskich miast, które rozwijały się w tym samym czasie, w tych samych stuleciach, nie znajdziemy dwóch identycznych, chociaż każda epoka posiadała obowiązujący styl budowania. Każdy zespół staromiejski jest inny, a w nim — nie znajdzie się dwóch identycznych kamieniczek.

Dokończenie na str. 4

# Łęczna: wspomnienia i teraźniejszość

Dokończenie ze str. 3

Jakże różni się rynek lubelski od zamojskiego, secesja łódzka od krakowskiej i lwowskiej! Istnieje lubelska odmiana renesansu i barokowy styl starego Wilna. I ta różnorodność dokumentuje dawną siłę naszej kultury, jej bogactwo, jej niepospolitą zdolność przyciągania cudzoziemców, którzy musieli czuć się tutaj dobrze, skoro tak łatwo ulegali polonizacji.

Jedynym w swoim rodzaju miastem jest także Łęczna, oczywiście Łęczna stara, gdzie każdy dom jest inny, inne jest każde podwórko i zaułek. A przecież razem wzięte stanowi to już pewien styl, można wręcz mówić o niepowtarzalnym charakterze miasta, jego własnej twarzy, atmosferze — także własnej i specyficznej. Ale nie powiemy przecież tego o ponurym blokowisku, o Łęcznej nowej — górniczej, która niczym, żadnym szczegółem, nie różni się od blokowiska lubelskiego Czechowa, Czubów, nowych osiedli mieszkaniowych w Olstynie, Przemyślu i Słupsku.

A zatem bloki i muzeum węgla. Jedno warunkuje drugie, drugie wynika nieuchronnie z pierwszego, ponieważ i jedno i drugie dokumentuje tę samą mentalność kolektywistycznej bylejakości. Nie mam najmniejszego zamiaru deprecjonować dorobku muzeum, którego zbiory, choć skromne, posiadają swoją wartość. Dotyczy to zwłaszcza eksponatów geologicznych, które wyczerpująco dokumentują budowę wnętrza tej ziemi i nie raz chwalone były przez specjalistów. Ale ten misz-masz nie wygląda dobrze, zapewne dlatego, że wnętrze synagogi kojarzyć się będzie zawsze z czymś podniosłym, ale zarazem spokojnym. A więc miejsce to jest raczej nieodpowiednie: mundur górnik nigdy nie będzie prezentował się naturalnie w renesansowym wnętrzu świątyni. Czuję w tym wszystkim fałsz, sztuczność, jakies przebranie miary, niestosowność. Może dlatego, iż akcesoria górnicze sąsiadują z eksponatami etnograficznymi. Przysnąję, że to wielka sztuka tak zakomponować zbiór muzealny, aby nie stanowił dysonansu z wystrojem synagogi. Może więc wyeksponować to, co spoczywa w magazynie?

Mgr Dorota Tymczak nie może jednak pokazać mi tych skarbow. Dyrektora akurat nie ma, a do magazynu nikogo obcego nie wolno wpuścić. Kilkadziesiąt eksponatów znajduje się jednak w biurze, oglądamy więc to, co jest pod ręką, a co nie mieści się w sali wystawowej. Trzy dobrze zachowane naczynia gliniane sprzed sześciu tysięcy lat, czyli z neolitu, będące świadectwem wolińsko-lubelskiej kultury ceramiki białej malowanej... Narzędzia kamienne i z krzemienia, a wśród nich tzw. zbrojnik mikrolityczny w kształcie trapeza z epoki mezolitu oraz tzw. liściak, czyli grot strzałowy z schyłkowego paleolitu, a więc z około 10 tysięcy lat przed naszą erą... Biorę do ręki toporek, tak wygładzony i proporcjonalnie obrobiony, że aż trudno uwierzyć, iż jest z kamienia. A w toporku — owalny otwór na trzonek, tak idealnie równy, jak w dzisiejszych młotkach. Jak to zrobiono? Tego nie wiemy, wiadomo jedynie, że toporek liczy sobie pięć i pół tysiąca lat i jest świadectwem kultury pucharów lej-kowatych.

Kiedy biorę do ręki grzechotkę z epoki kultury łużyckiej, nie umiem oprzeć się wzruszeniu. Najczęściej myślimy o ludziach z tamtych odległych czasów, że byli prymitywni, dzicy i gwałtowni! Mężczyzna, który zrobił tę misterną zabawkę, był zapewne myślowym, jak wszyscy, a przecież musiał poświęcić na zrobienie takiego cacuszka kilka wieczorów. A więc miał czas dla swojego dziecka,

na pewno kochał swoją rodzinę i martwił się, kiedy małeństwo płakało. Czy było mu się gorzej niż nam — dzisiaj? Nie sądzę.

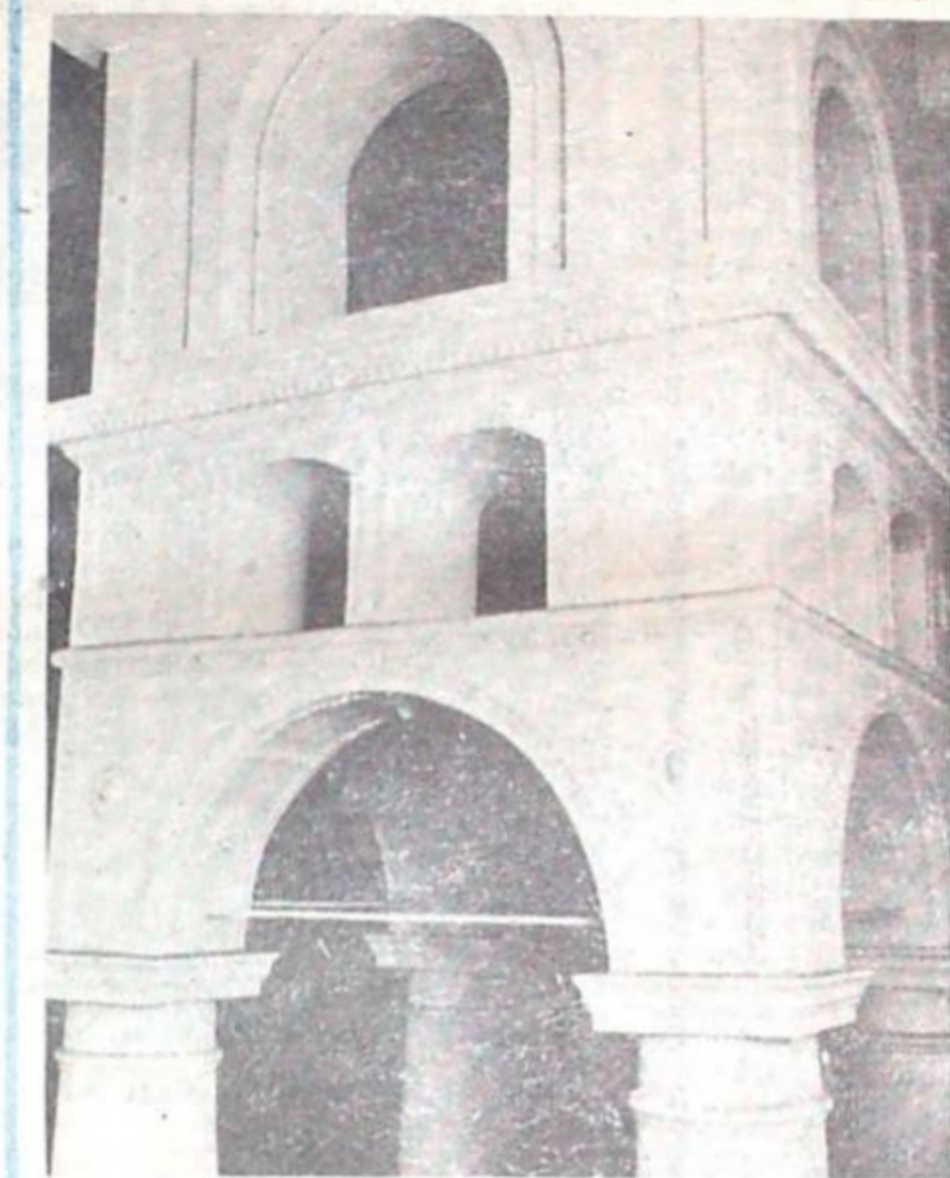
Pani Tymczak zdradza mi, że bogate zbiory archeologiczne z Łęcznej i okolic znajdują się w Katedrze Archeologii UMCS. A jej cichym marzeniem (jeżeli oczywiście docent Jan Gurba, kierownik Katedry, wyrazi na to zgodę) byłoby wypożyczenie najciekawszych eksponatów i urządzenie w Łęcznej wystawy. Jak to by wyglądało obok munduru górnik? Chyba nie najlepiej. Problem to osobny, ale właśnie na jego przykładzie widać jak na dłoni ów sposób myślenia, skutkiem którego stara Łęczna skaza-

nie weźmie się za nią fachowiec od odgrzybiania. Wszystkie cztery kolumny bimy są mocno nadjedzone, musi to być bardzo żarłoczny grzyb, skoro stare, mocne cegły przemienia w proszek.

Dyrektor Paluch opowiada mi o swoich staraniach, by uchronić synagogę od ruiny. Najpierw ją solidnie ogrodził wysokim plotem. Dlaczego wysokim? Otóż w centrum Łęcznej nie ma publicznego szaletu i utarło się przez wiele lat, że funkcję tę pełnił plac na tyłach bóżnicy. Mimo remontu w latach sześćdziesiątych, ściany synagogi są z tamtej strony mocno nadwątłone, co znaczy, że wilgoć i grzyb nadal się ją zniszczenie, chociaż nikt tam już nie załatwia swoich potrzeb. Potem, w roku 1984, udało się zabezpieczyć bóżnicę owym nieszczęsnym dachem z papy. A jeszcze potem, po otrzymaniu pieniędzy na remont, było długie namawianie kierownictwa Zakładu Remontowo-Budowlanego Lubelsko-Chelmskiego Gwarectwa Węglowego, aby przyjęło zamówienie na roboty. Zamówienie w roku 1987 przyjęło wstępnie, po czym zakład, tłumacząc się „brakiem

unikalnym, bezcennym zabytkiem? Wprawdzie dyrektor Paluch przekunuje mnie, że cel uświęca w tym przypadku środek i on chętnie pozwoliłby górnikom urządzić w piwnicach niewielką kawiarenkę, byle tylko wykonali generalny remont całej synagogi. Ale ja pozwól sobie zachować odrębne zdanie. Kiedy dowiadujemy się, że w jakimś dalekim kraju świątynię zamienia się w restaurację i magazyn, nie posiadamy się z oburzenia i skorzystamy do przekonania, że taki kraj stoi cywilizacyjnie niżej od Polski. Dlatego w imię dobrego smaku i tradycyjnego porządku kulturowego apeluję do władz Łęcznej i województwa, aby nie dopuściły do przemienienia tej świątyni w miejsce rozrywki. Byłoby to niegodne naszej tradycji, a i źle świadczyłyby o teraźniejszości. Jest ona co prawda chamska, ale nie pozwólmy, by była także bezwstydną. Pomóżmy więc dyrektorowi muzeum w Łęcznej w jego zabiegach o uratowanie synagogi od zniszczenia. Wydaje się także, że należy powtórnie rozważyć sprawę profilu tematycznego muzeum. Oto, na przykład, obok domu towarowego w

Synagoga: awers i rewers.



Fot. Dariusz Rzewuski



Fot. Andrzej W. Pawluczuk

na została na powolne dogorywanie. Wprawdzie naczelnik miasta i gminy, Henryk Smiech, robi, co może, aby ten smutny proces zatrzymać, ale — powiedzmy szczerze — jest to ponad jego siły i możliwości.

Wieloletnie i bezskuteczne starania obecnego dyrektora muzeum, Janusza Palucha, o generalny remont zabytkowej synagogi dowodzą, że stare miasto, jeżeli zostanie dalej pozostawione samemu sobie, w ciągu najbliższego dwudziestolecia zniknie z powierzchni ziemi, rozsypie się w proch. Synagoga, która przetrwała przeszło trzysta lat, w tym wiele wojen i pożarów w stanie nienaruszonym, rozsypie się na naszych oczach, tak jak pod urzędowym okiem konserwatorów rozsypało się w pył wiele innych zabytków. Kiedy bowiem znalazły się pieniądze, zabrakło wykonawcy. Teraz może wykonawca by się znalazł, ale pieniądze przepadły i starania o nie trzeba zaczynać od początku.

Kiedy zobaczyłem tę bóżnicę po raz pierwszy, zwróciłem natychmiast uwagę na jej dach: w połowie pokryty gontem, a w połowie papą. Synagoga kryta papą? — tego jeszcze nie widziałem, ale zamiast ciskać gromy (na kogo?) trzeba powiedzieć, że dyrektor muzeum zrobił, co mógł, aby uchronić wnętrze synagogi od całkowitego zniszczenia. Dach przeciekał, były pieniądze tylko na papę. I tak trwa ta prowizorka, chociaż jest to rażąco szpetne. A wnętrze bóżnicy to przede wszystkim bima z renesansowym wystrojem. Ale i dach na nic zda się, jeżeli w najbliższym czasie

mocy przerobowych", zrezygnował z przeprowadzenia remontu.

Puściłbym tę informację mimo uszu, wszak przywykliśmy do tego rodzaju „trudności obiektywnych” wynikających z naszego sposobu gospodarowania, gdybym nie spotkał przypadkowo poprzedniego dyrektora muzeum, Jana Silla, który kierował łączyńską placówką w latach 1978—1981. Dowiedziałem się od niego, że zakusy na synagogę ma od lat Stowarzyszenie Techników i Inżynierów Górniczo-Węglowych, któremu marzy się tutaj własny klub i sala odczytowa. Oczywiście chodzi tylko o część bóżnicy i nie ma mowy o usunięciu stąd muzeum. Górnicy przejęliby pomieszczenie po bibliotece oraz doprowadzili do stanu używalności piwnice, które znajdują się dzisiaj w stanie kompletnej ruiny. Niedawno panowie z gwarectwa i Zakładu Remontowo-Budowlanego znowu wizytowali synagogę, można się domyślać, że dla oszacowania zakresu koniecznych robót remontowych i adaptacyjnych. Nikt mi tego oczywiście wprost nie powiedział, życie w małym miasteczku ma swoje niepisane prawa, ale można się domyślać, że znalazłyby się i pieniądze i osławione „moce przerobowe”, gdyby zgodzono się oddać górnikom część synagogi. Jest w takim postawieniu sprawy coś bardzo brzydkiego, co raz i moje poczucie przyzwoitości. Ale takie postępowanie i myślenie zyskało sobie u nas status normalności, dlatego jest to także smutne. Czyż nie mogłaby bowiem kopalnia uratować bóżnicy tylko dlatego, że jest ona

nowej dzielnicy miasta stoi duży gmach z wielkim napisem na frontonie: „Stołówka”. Ogromny wielki hall jest tam zupełnie nie zagospodarowany, a na dodatek brudny i czuć w nim zapach toalety, zbyt rzadko — zapewne — sprzątanej. Ekspozycje górnicze z synagogi znakomicie by tu pasowały, a ich obecność zbaligowałaby może gospodarzy obiektu do utrzymania porządku w hallu i czystości w toaletach. Zaś muzeum powinno być, jak przed rokiem 1975, regionalno-historyczne. Łęczna ma bogatą i wspaniałą historię zasługującą na udostępnienie. A zresztą muzeum, jako placówka naukowa, miałoby tutaj pełne ręce roboty z udokumentowaniem tego, co jeszcze w Łęcznej istnieje. Nie chcę być złym prorokiem, ale znając nasze realia sądzę, że bardzo, naprawdę bardzo trudno będzie uchronić starą Łęczną od zagłady.

Sytuacja jest bowiem na razie niezręczna, o tyle, iż tytuł: Muzeum Lubelskiego Zagłębia Węglowego sugeruje, że kopalnia sprawuje merytoryczny, a co najmniej finansowy patronat nad placówką. Jest to wprawdzie zapisane w statucie muzeum, ale w praktyce nic z tego nie wynika. Ta cicha deklaracja, po której zapewne wiele sobie obiecywano, pokazuje, iż nie tylko rolnictwo czuje się niedobrze w towarzystwie wielkiego przemysłu (pisałem o tym w dwóch poprzednich reportażach). Nie szczęści się także zabytkom, chociaż obecność pod bokiem możnego mecenasa kazałaby przypuszczać, że będzie inaczej.

Andrzej W. Pawluczuk

**N**IE tak dawno odwiedziłam Lubelskie Lotnicze Pogotowie Ratunkowe w Radawce. Spotkali tam ludzi wierzą, że kiedyś, oprócz transportowania ludzi chorych, będą mogli nieść im również specjalistyczną pomoc medyczną, ratować ich życie. Częściej wyręczać tradycyjną karetkę. Ich marzenia zaczynają się urealnian: w Swidnickiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego powstał pierwszy egzemplarz śmigłowca „Sokol” w specjalistycznej wersji reanimacyjnej.

Biało-czerwony śmigłowiec z charakterystycznym znakiem „R”, sygnalizującym ratunek, stoi w hangarze. Konstruktor prowadzący opracowanie projektu technicznego, inż. Andrzej Bryzek, jest trochę zdenerwowany. Właśnie dzisiaj, 5 października, gości specjalistów z Wojewódzkiej Kliniki Kardiologicznej w Zabrze, dla której ten śmigłowiec ma być przeznaczony. Po raz pierwszy to, co powstało w pracowniach konstruktorów i technologów, zostanie zaprezentowane głównym użytkownikom. Ich opinia jest teraz najważniejsza.

— Nasz śmigłowiec — mówi A. Bryzek — wyposażony jest w urządzenia medyczne umożliwiające rozpoczęcie intensywnej opieki natychmiast po dotarciu do pacjenta. Zresztą powstał on z myślą o ratowaniu ludzi ciężko chorych na serce. Wykonany został w Zakładzie Badawczo-Rozwojowym WSK na zamówienie Urzędu Postępu Technicznego i Wdrożeń. Specjalistyczny sprzęt medyczny zakupiony jest za dolary przekazane przez ten urząd.

Pierwsze zetknięcie z powietrzną karetką reanimacyjną jest imponujące. Białe wnętrze, nosze specjalnej konstrukcji, zainstalowany sprzęt medyczny, umywalka z ciepłą wodą, szafka na leki, stolik uzmysławiają, że będzie tu trwała walka o ludzkie życie.

— Nosze o specjalnej konstrukcji — objaśnia A. Bryzek — zamontowane są na wózku poruszającym się po łukowatych szynach, daje to możliwość wysunięcia ich poza śmigłowiec i wygodne umieszczenie chorego w kabine. Mogą być też one regulowane w płaszczyźnie pionowej. Nad noszami — półka z zamontowanym sprzętem medycznym. W kolejności stoją infusomat — automatyczna kroplówka. Przyrząd pozwala na dokładne dozowanie płynu. Jest respirator do wymuszania oddechu, w którym częstotliwość jak i objętość podawanego tlenu można dowolnie regu-

lować. Dalej umieszczono kardiomonitór służący do kontrolowania pracy serca i mierzenia pulsu. W śmigłowcu nie da się tradycyjną metodą zmierzyć ciśnienia krwi, zrobi to pompa Omega. Znajduje się też defibrylator, niezbędny, gdy zaistnieje potrzeba elektrycznego pobudzenia i stymulacji pracy serca — kontrolą przebiegu akcji serca zapisanej na taśmie EKG. W specjalnej walizce, obok fotela lekarza, znajduje się urządzenie reanimacyjne HLR, służące do przeprowadzania masażu serca i sztucznego oddychania.

Zadanie konstruktorów polegało na odpowiednim zainstalowaniu medycznego sprzętu i takim rozwiązaniu wnętrza, by pracujący w czasie lotu personel medyczny mógł jak najwygodniej spełniać swoje zadania przy jednoczesnym zapewnieniu właściwych warunków pacjentowi.

— W śmigłowcu — pokazuje A. Bryzek — musieliśmy rozwiązać instalację elektryczną. Zamontowana instalacja prądu sieciowego 220V zasilana jest ze źródła lotniskowego, co umożliwia ładowanie baterii aparatury medycznej bez konieczności wymontowywania jej ze śmigłowca. Kabina ma dodatkowe oświetlenie i lampę bezcieniową. Zainstalowano też radiotelefon i dwa przyłącza, za których pomocą lekarze mogą porozumiewać się między sobą, pilotem oraz z ziemią. Śmigłowiec został wyciszony, a podłoga i ściany



Fot. Jan Mazur

ne prace, całość została zaakceptowana. Przed śmigłowcem jeszcze próby w locie i próby funkcjonalne. Teraz ważna sprawa to zachowanie się sprzętu

cięż w świetle taki sprzęt lata. Przy chorobach serca najważniejsza jest szybka pomoc. Ratowanie chorego serca to wyścig z czasem, a powietrzna

## Wyścig z czasem

Irena Wierzchoś

medycznego w powietrzu. Wprawdzie przy zakupie producenci byli informowani o jego przeznaczeniu, trzeba jednak przeprowadzić dodatkowe badania, sprawdzić, jak zareaguje na drgania powstające w czasie lotu.

— Wierzę, że wszystko będzie w porządku — zapewnia doktor z oddziału kardiologii w Zabrze, Władysław Pluta, zachwycony śmigłowcem. — Prze-

medycznego w powietrzu. Wprawdzie przy zakupie producenci byli informowani o jego przeznaczeniu, trzeba jednak przeprowadzić dodatkowe badania, sprawdzić, jak zareaguje na drgania powstające w czasie lotu.

— Wierzę, że wszystko będzie w porządku — zapewnia doktor z oddziału kardiologii w Zabrze, Władysław Pluta, zachwycony śmigłowcem. — Prze-

karetką reanimacyjną pomoże nam go wygrać. Musimy wykorzystywać istniejącą technikę, włączać ją skuteczniej do służby człowiekowi.

Pędząca ulicami karetka reanimacyjna czy unoszący się w górze śmigłowiec z charakterystycznym znakiem to sygnał, że znowu komuś przestało bić serce i że inni ludzie chcą to serce zmusić do pracy, każą mu żyć.

## Beton nad ruczajem

Dokończenie ze str. 1

Ale w tej całej smutnej zabawie w złudzenia znaczną rolę odegrali też architekci — autorzy katalogów typowych projektów budownictwa wiejskiego. Wychowani w amoku kosmopolitycznej geometrii (czy może być zresztą „narodowa geometria”?), oni właśnie przyczynili się do zagrzenia miękkich nizin i łagodnych wyżyn Polski tysiącami szefciennych pudełek wedle formuły: cztery ściany, płaski dach, loggia, a w środku chłop rozeźmiany z rodziną. Takie coś i dziś znajduje najwięcej amatorów na wsi, o czym świadczy niestające powodzenie projektu WB 3251, który w obecnej wersji posiada już dach dwuspadowy, zgodnie z kolejną modą wśród projektantów. Jego wnętrze stanowią trzy pokoje (19,1—19,8—8,8 m kw.), łazienka oraz kuchnia o idiotycznej wręcz powierzchni 9 metrów kwadratowych!

W marcu tego roku Zarząd Główny SARP przedstawił dziennikarzom różne oświadczenia, diagnozy i wnioski, określające sytuację budownictwa i architektury w Polsce. Z materiałów wynika, że jest źle („statystyczny okres oczekiwania na mieszkanie wzrósł dziś do 30—50 lat i wciąż się zwiększa”), a może być jeszcze gorzej. O ile jednak reforma gospodarcza otwiera pewne nadzieje na racjonalizację budowania w

aspekcie ekonomicznym, o tyle trudno powiedzieć, czy rozwinię się wreszcie w kraju zrozumienie dla architektury jako ważnego elementu kultury... W odpowiednim tekście czytamy:

„Czy o architekturę mają zabiegać sami tylko architekci? Zdaniem SARP architektura — nasze codzienne otoczenie kształtuje życie człowieka w znacznie większym stopniu niż telewizja, film, teatr, literatura, tradycyjnie zaliczane do kultury. Dlaczego więc brak zainteresowania sprawami architektury? Czy państwo nie powinno pełnić roli mecenasa żywotnie zainteresowanego wyglądem polskich domów, ulic i miast polskiego krajobrazu?”

Chciałoby się powiedzieć: nie przesadzajmy z tym awansowaniem się do roli jedynych sprawiedliwych na polu walki o dobrą architekturę! Jak w każdej innej profesji, tak i w tej spotkać można pojedyncze indywidualności twórcze, wielu poprawnych rzemieślników rajzbretu oraz liczne zastępy miernoty.

Ta statystyczna prawidłowość nie powinna przecież przesłonić rzeczywiste poważnego problemu: stosunku inwestorów i wykonawców do architektury, pojmowanej w kategoriach kulturowego dobra.

Na interesującym nas tutaj terenie wiejskim rzadko kto przejmuje się estetyką wznoszonych obiektów i ich

relacjami z pejzażem czy choćby z zagrodą sąsiada. Na wsi buduje się z powodów praktycznych, utylitarnych, dla zatrzymania spadkobiercy na gospodarce, z myślą o lokacji kapitału. Domy mieszkalne pozostają często nieukończone, nie otylkowane — wystarczy, że stoją, że nie przepuszczają deszczu i wiatru. Bywa, że ich właściciele, rodzice opuszczeni przez dzieci, korzystają wyłącznie z kuchni, w pokojach na piętrze susząc zboże czy przechowując cebulę. Wokół budynków panuje bałagan, gęstnieje błoto zmieszane ze śmieciami.

Mало tego: zdaniem osób zorientowanych w sprawie aż 60—70 proc. obiektów mieszkalnych na wsi lubelskiej „chwali się” odstęptwami od projektów. Rzecz w tym, że wznoszący je murarze ułatwiają sobie robotę jak mogą i np. wszystkie ewentualne krzywizny czy zaokrąglenia, wyznaczone przez architekta, sprowadzają do kątów i linii prostych. Dodajmy, że tylko 10 proc. ogółu takich fachmanów posiada karty rzemieślnicze, pozostali to zwykłe chłopci-robotnicy, którzy kiedyś tam zaczęli się okazywać o wielką płytę na miejskiej budowie. Ale na wsi były murarzyna to „car i bog”, który za dniówkę dostawał się minimum 6000 zł oraz konwencjonalnego pół litra.

Demoluje się też zamysły projektantów przez dostawianie do wznoszonych obiektów różnych przybudówek, tarasów etc.

No cóż, niska kultura... Ale może coś jeszcze: rezultat poczucia niepewności, wbitego w chłopie dusze historyczną zmiennością polityki państwa wobec wsi. Na rozkołysanym statku człowiek dba głównie o to, aby utrzymać się na pokładzie. Twierdzi się przecie, że głównym powodem samowoli budowlanej na wsi, wręcz anarchii, jest brak kontroli ze strony administracji.

Faktycznie, wyraźne nasilenie degradacji wiejskiego krajobrazu nastąpiło po roku 1975, kiedy to władze centralne zafundowały Polsce kilkadziesiąt województw, likwidując po drodze powiaty, a wraz z nimi — istniejące tam do tej pory terenowe pracownie urbanistyczne. Ta „reforma” przepędziła też architektów i inżynierów budowlanych z ośrodków gminnych. Służby nadzoru budowlanego stały się fikcją, powiedzmy łagodnie, że zapadły na ciężką anemię.

Obecnie w gminach Lubelszczyzny w ogóle nie ma architektów, a za ład przestrzenny odpowiadają technicy: budowlani, sanitarni, elektrycy, nawet rolnik. Często są to kobiety, którym dodatkowo zleca się takie niecierpiące zwłoki „zadania”, jak liczenie kartek żywnościowych lub prowadzenie akcji „nawozy”.

Co tu zresztą mówić o gminach, skoro we wszystkich terenowych organach administracji państwowej stopnia podstawowego (łącznie oczywiście z miastami) zatrudnionych jest raptem trzech architektów, z czego jeden, tylko jeden, w Wydziale Ur-

banistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego UM w Lublinie, w którym w sumie pracuje 18 osób.

Podobnie jest zresztą w całej Polsce. Według ministerialnej analizy zaledwie 2 proc. ogółu zatrudnionych w odpowiednich służbach administracji terenowej posiada właściwe kwalifikacje zawodowe, potrzebne przy podejmowaniu decyzji lokalizacyjnych, zatwierdzaniu projektów, wydawaniu zezwoleń na budowę, egzekwowaniu prawa, śledzeniu zgodności wszystkich realizacji (budynki, drogi etc.) z uprzednio zatwierdzonymi planami ogólnymi i szczegółowymi przestrzennego zagospodarowania danego rejonu.

Co z tego wynika, można obejrzyć przy drodze na Lubartów, kilka kilometrów za Lublinem, gdzie stoi olbrzymia poczwara, obwieszona tarasami, balaskami — jak sen cukiernika ożenionego z damskim atletą.

Ale poza tym, to ciągle na wsi jest malowniczo, bo z braku materiałów budowlanych ponad 11000 budynków Lubelszczyzny nadal porasta strzecha.

Wchodzą lub wejdą w życie nowe ustawy sejmowe, racjonalizujące i dyscyplinujące całokształt ruchu budowlanego, gospodarkę przestrzenną itp. Zatem nowe i dzie, ale stare, choćby pod postacią gazobetonu nad ruczajem, i tak pozostanie — jako rzecz szpetna, symbol bezhołwia i ostrzeżenie dla władzy oraz niejednego z architektów.

Ireneusz J. Kamiński

# O skarbie tysiąclecia w Środzie Śląskiej: rzecz o ignorancji

**O**BOJĘTNIE, co się dzieje na ten temat powie i napisze, nad całą tą sprawą ciąży złoto". Te słowa jednego z głównych uczestników i świadków wydarzeń niech pozostaną mottem historii, która zaczęła się z końcem maja w Środzie Śląskiej. „Śląskie Eldorado”, „Skarb Tysiąclecia”, „Złoto na śmietniku” — tymi i podobnymi tytułami sygnowano sensacyjne doniesienia o skarbie, a małe dolnośląskie miasteczko szybko stało się znane całej Polsce.

24 maja tego roku o godzinie jedenastej wpłynęła do średzkiej milicji pierwsza informacja o skarbie monet z ul. Daszyńskiego 14. Pracownicy centrali telefonicznej powiadomili milicję o zbiegowisku na sąsiedniej posesji, gdzie po rozbiorze starej kamienicy kopano dół pod fundamenty nowego budynku. Przybyli na miejsce inspektor Jan Szawan i Wojciech Balcerzak z miejscowego muzeum znaleźli w wykopie gliniane skorupy i około 400 srebrnych monet. Po „dżentelmeńskiej” rozmowie i pouczeniu robotników odzyskano w tym dniu dalsze 1297 groszy praskich i 8 złotych florenów. Jednego z dżentelmenów ujęto nazajutrz w Legnicy, gdy usiłował wymienić stare srebro na walutę zgoła współczesną.

Nad wykopem wystawiono stały posterunek milicyjny. Nazajutrz przybył dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Archeologiczno-Konserwatorskiego we Wrocławiu, Tadeusz Kaletyn, z pracownikami. W godzinach popołudniowych zakończono oględziny wykopu i szef WOAK udostępnił teren budowlanym. Zainteresowano się natomiast ziemią i gruzem wywozonym z terenu budowy. Ustalono, że większa jej część trafiła na teren Ośrodka Sportu i Rekreacji, gdzie zasypywano podmokłą nieckę dawnego stawu — ziemią przywożoną z różnych części miasta.

Położony na peryferiach Środy kilkunastohektarowy teren rekreacyjny to pozostałość poniemieckich stawów hodowlanych. Największy, istniejący, wykorzystują wędkarze. Inne zasypało wcześniej, zbudowano muszlę koncertową i basen. Ten ostatni, doszczętnie zdewastowany, przylega bezpośrednio do wysypiska. Właściwie przypomina ono raczej śmietnisko usłane przymami ziemi różnej barwy, gruzem, żelastwem, płachtami folii. Ukryty w trawach, średniowieczny krzyż pokutny i bar „Pod kajakiem” uzupełniają dawno-współczesną scenografię tego miejsca.

30 maja dyrektor średzkiego muzeum, Lucjan Owczarenko, ogłasza informację o wykupie monet z rąk ludności (1000 zł za sztukę) i z grupą młodzieży szkolnej przystępuje do przeszukiwania wysypiska.

„Dziecięca krucjata” Owczarenki przynosi efekty. Grabkami, łopatkami, patykami dzieci wygrzebują z ziemi srebrne monety. Owczarenko płaci. Jeden z uczniów Mirek Małkowski, znajduje złotą zausznice. Oddaje z żalem, chce najpierw pokazać mamusi... Mógł to być punkt zwrotny całej sprawy, lecz: „nikt nie przypuszczał, że to mogło być złoto (Owczarenko), ja też nie. Czulem, że to coś nietuzinkowego, może mosiądz, bo ja wiem? Przecież nie było prób i skąd nagle złoto przy srebrnych monetach? Tak, mówiłem o tym dyrektorowi Kaletynowi...”

Szef wrocławskich archeologów wraca do Środy 31 maja i od razu przeżywa dziecięce wykopki. „To było niepoważne — twierdzi Tadeusz Kaletyn — potrzebna była inna technika działania. Sprowadziłem z Wrocławia aparaty, funkcjonariuszy Ośrodka Szkolenia Milicji Obywatelskiej i zaczęliśmy pracować metodycznie. Każdego ranka rozpoczynaliśmy działalność od przepędzania gapiów i amatorów skarbu. Znaleźliśmy 735 monet srebrnych i trzy złote. Po czterech dniach uznałem, że nie ma więcej monet na wysypisku i wstrzymałem poszukiwania. Oczywiście, że nie szukaliśmy złota. Przecież Owczarenko mi tej zausznicy nie pokazał. Ludzie

weszli po nas i znajdowali złoto, bo o nim wiedzieli, a my nie!”

W tzw. międzyczasie dwaj chłopcy: Grzegorz Tuligłowicz i Wojtek Brzeziński znajdują fragment złotego diadem. Nie wie jednak o tym ani Owczarenko, ani Kaletyn, ani w ogóle nikt.

Po odejściu archeologów na wysypisko wracają mieszkańcy. Podzielono teren na działki i systematycznie zaczęto przekopywać nawiezioną ziemię: dzień i noc, na zmianę, przy świetle laterek i reflektorów samochodowych. Z zapalem i wiarą, z mozołem. I z efektami. Atmosfera tamtych dni w relacjach świadków przypominała czasy Klondike i gorączki złota. Dzielono łup na miejscu. Złota taśma, tak zwany pas, pocięto sztychówką na cztery części. Inne przedmioty, wśród nich diadem, też noszą ślady „podziału”. Klócono się o gra-

sięcy złotych. Cóż, ministrowi nie śniły się przecież ćwierć wieku temu złote diademy w ziemi, a złotówki stały o niebo lepiej od aluminiowych guzików.

8 sierpnia 1988 roku min. Aleksander Krawczuk podejmuje bezprecedensową decyzję o podwyższeniu nagród do trzykrotnej wartości kruszcu, pod warunkiem, że przekazanie przedmiotów nastąpi do 24 sierpnia (potem termin przesunięto na koniec miesiąca). Równocześnie, w porozumieniu z prokuraturą, zapewnia zwolnienie z odpowiedzialności karnej. Informacje o tej decyzji zostają rozplakatowane w całym mieście, podają je prasa, radio i TV. Jest to w gruncie rzeczy rozpaczliwa próba odwrócenia niekorzystnego biegu wydarzeń, uratowania tego, co mimo przetrząśnięcia miasta znajduje się jeszcze u ludzi. Ludzie chcą zarobić i nie siedzieć.

warstwy kulturowe z różnych epok, ziemia z różnych budów i to przywołana już po odkryciu skarbu. Nikt temu nie zapobiegł. Zdecydowałem się użyć spychacza i nasunąć ziemię. Tu przychodzą różni: pijacy, rybacy, sędziści, narkomani. Musiałem jakoś zabezpieczyć”.

Na wrzecionowatym średzkim rynku emeryci, jak wszędzie, wolno smakują słońce i czas. Karmią gołębie i nieczego się już nie boją. „Mamy was dość. Prasy i tego złota. Zrobiliście z nas złodziei, wypisujecie niestworzone historie”.

Księdza proboszcza nie zastałem w kościele ani na plebanii. Wyjechał na uroczystości do Wrocławia. Ksiądz proboszcz także apelował z ambony do sumień mieszkańców. Dwukrotnie, na prośbę konserwatora. Jednakże mylili się ten, kto sądzi, że poszukiwa-

## Złoto zakopał morderca?

Leszek Wiśniewski

nice poletek, o pół łopaty, o jedną monetę...

Bar „Pod kajakiem” przeżywa w tych dniach prosperity londonowskich saloonów. Za piwo można kupić srebrnego grosza, za pół litra złotego florena. Na rynku w Środzie turyści z RFN placą po kilkadziesiąt marek za sztukę. Podobny przelicznik obowiązuje pod hotelem „Wrocław” we Wrocławiu. Krąży fantastyczne wersje o wielkości skarbu. W pogłoskach przewija się złoty naszyjnik, pas, miecz lub sztylet...

13 czerwca dyr. Kaletyn powraca do Środy w asyście zomowców i spychacza. Nasuwają dużą warstwę ziemi na teren znalezisk, by zabezpieczyć to, co mogło jeszcze zostać w ziemi. Zabezpieczeniem tego, co jej wydarto, ma się zająć milicja.

Z udziałem funkcjonariuszy z Wrocławia i Warszawy przeprowadza się w Środzie i okolicach szeroko zakrojoną akcję „odzysku”. Masowe, nieraz wielogodzinne, przeszukiwania, rozmowy ostrzegawcze, zatrzymania przynoszą podwójny efekt. W trosce o całość podłóg i ogródków ludzie zaczynają oddawać i mówić. Pojawiają się nowe przedmioty ze złota, bez wątplenia świadczące o istnieniu większej całości. Pojawia się również strach, nieufność, rozgoryczenie, zawiść.

Jeden z szacownych obywateli zostaje pobity przez czcigodną małżonkę za oddanie wspólnie wykopanego małego cacuszka. Pewien młody człowiek usiłuje spieniężyć wykopalisko u własnego dziadka. Panowie nie mogą uzgodnić ceny, wnuczek straszy dziadka ujawnieniem jego alchemicznych, nieupełnionych legalnych zamierzeń. Skąpy staruszek nie czeka na spełnienie grózb. Milicja „po dobroci” przejmuje efekt pracy młodego archeologa. Małe miasteczko, gdzie z grubszą wszyscy się znają, przeżywa szok. Większość mieszkańców — po raz pierwszy zetknęła się bezpośrednio z „energicznie prowadzonymi — czynnościami dochodzeniowo-śledczymi”. Ludzie nie rozumieją: dlaczego?

Rozporządzenie ministra kultury i sztuki z 12 kwietnia 1963 r. w sprawie nagród za znaleziska i wykopaliska archeologiczne ustala wysokość nagrody na 10 procent wartości znaleziska, jednak nie więcej niż 300 ty-

Na razie „edykt Krawczuka” przynosi kolejne zdobycze. 14 sierpnia zgłasza się do muzeum w Środzie pierwszy „znalazca”. Nazajutrz — następny. 15 i 16 sierpnia w wyniku długotrwałych, dramatycznych rozmów z wojewódzkim konserwatorem zabytków, Józefem Cempą, jeden z mieszkańców przynosi cały zestaw złotych fragmentów skarbu. Wychodzi odprężony i zamożny — ponad 10 milionów zł zostanie mu wypłacone parę dni później. Przykład działa na innych. Napływają kolejne złote elementy. Józef Cempa, dyżurujący w średzkim muzeum, łapie każdy sygnał, każdą wiadomość, perswaduje, zapewnia... Tymczasem środki przekazu prześcigają się w sensacyjnych tytułach, w licytowaniu milionowych kwot. Milicja pracuje spokojnie, ludzie są niespokojni. 31 sierpnia „edykt Krawczuka” traci ważność.

W Środzie Śląskiej spędziłem ostatnie dni tegoż rocznych wakacji. Przyjechałem bez specjalnej chęci poszukiwania sensacyjnych momentów. Intrygowała mnie przede wszystkim odpowiedź na pytanie: jak mogło dojść do tego, że bezcenny zabytek średniowiecznej kultury znalazł się na śmietniku, został następnie wyszabrowany i w znacznej mierze zniszczony? Jak to się stało, że zbrojni w łopaty i siła ludzie znaleźli to, czego nie udało się znaleźć i zabezpieczyć archeologom i muzealnikom?

Na spotkanie z dr. Kaletynem przeszedłem przez płot. Wysypisko zostało właśnie ogrodzone, ustawiono tablice ostrzegawcze, do których dr. Kaletyn dołożył własną: „Wysypisko śmieci im. 750-lecia Środy Śląskiej. Tu znaleziono Skarb Tysiąclecia”. Dyrektor WOAK jest raczej człowiekiem dowcipnym. Na przykład teren znalezisk złota zasypał ziemią już w połowie czerwca i teraz może pracować ze spokojem nad poważniejszymi zadaniami archeologicznymi. Wprawdzie domorośli archeolodzy przekopali wszystko do pierwotnego podłoża, ale kto wie?

„Faktem jest — przyznaje dyr. Kaletyn — że po naszym odejściu 4 czerwca zaczęły się poszukiwania na dziko i ludzie znajdowali złoto. Myślimy o tym nie wiedzieli. Spodziewam się jednak wiele jeszcze tutaj znaleźć. Dopiero dziś wlemy, że cały ten śmietnik trzeba przetrząść. To są

nie skarbu miało charakter krucjaty archeologiczno - milicyjno - parafialnej. Próżno szukałby licznych ekip fachowców z całej Polski, nowoczesnej aparatury, sztabu akcji — słowem wszelkich znamion operacji, które z lubością rozwijano przy byle okazji. Pozostawiono konserwatora wojewódzkiego w punkcie skupu w muzeum, dyr. Kaletyna na wysypisku, a sprawy upływowi czasu i pierwszym stronom gazet.

Józef Cempa miał największe trudności z kserografem. Przez trzy dni nie było siły, żeby porządnie odbić informację o przedłużeniu terminu a-bolicji i skupu złota. Na stare plakaty nikt już nie zwracał uwagi. Potem nie zwracano jej już i na nowe. A przecież wystarczyłby jeden przejazd radiowozu z megafonem przez środek miasta. Ale radiowozy stały się wówczas bardzo potrzebne...

„Siedzę tutaj, choć nie mam już wielkiej nadziei na odzyskanie kolejnych elementów kolekcji. Jestem praktycznie osamotniony. Sam na sam z ludźmi, a ci są zastraszeni, odczuli skutki bezwzględności stosowania prawa. Wiedzą, że ja wyjadę, sprawa przycichnie, a oni będą nadal żyć w tym małym światku. Ich autem jest to, że wiedzą, co mają, gdzie mają i kto jeszcze ma, lecz nie chcą mówić. Być może ta solidarność narodziła się na wysypisku, kiedy kopali i dzielili? Staralem się stworzyć atmosferę intymności, muszę być cierpliwy. Tylko nie wiem, jaka jest moja rola, do jasnej cholery: konserwatora zabytków czy psychologa, spowiednika i kupca? Czy tylko jedna Środa jest ważna?”

Efekt dyżurów Józefa Cemy miałem szczęście oglądać na własne oczy. To, co wyjęto z płóciennych worków depozytu, daje świadectwo zmysłu piękna i artyzmu rąk średniowiecznego złotnika oraz wyobrażenie o wspaniałości całej kolekcji. Tylko wyobrażenie, bowiem przez z górą miesiąc nikt nie widział średzkiego złota w całości. Część odzyskana przez milicję spoczywała w oddzielnych sejfach. Tymczasem zbadań, choćby oględziny, całości przez fachowców mogło mieć ogromny wpływ na kierunki poszukiwań, a już bez wątplenia na ustalenie źródła pochodzenia skarbu. W zamian pojawiły się komiczne hipotezy o skar-

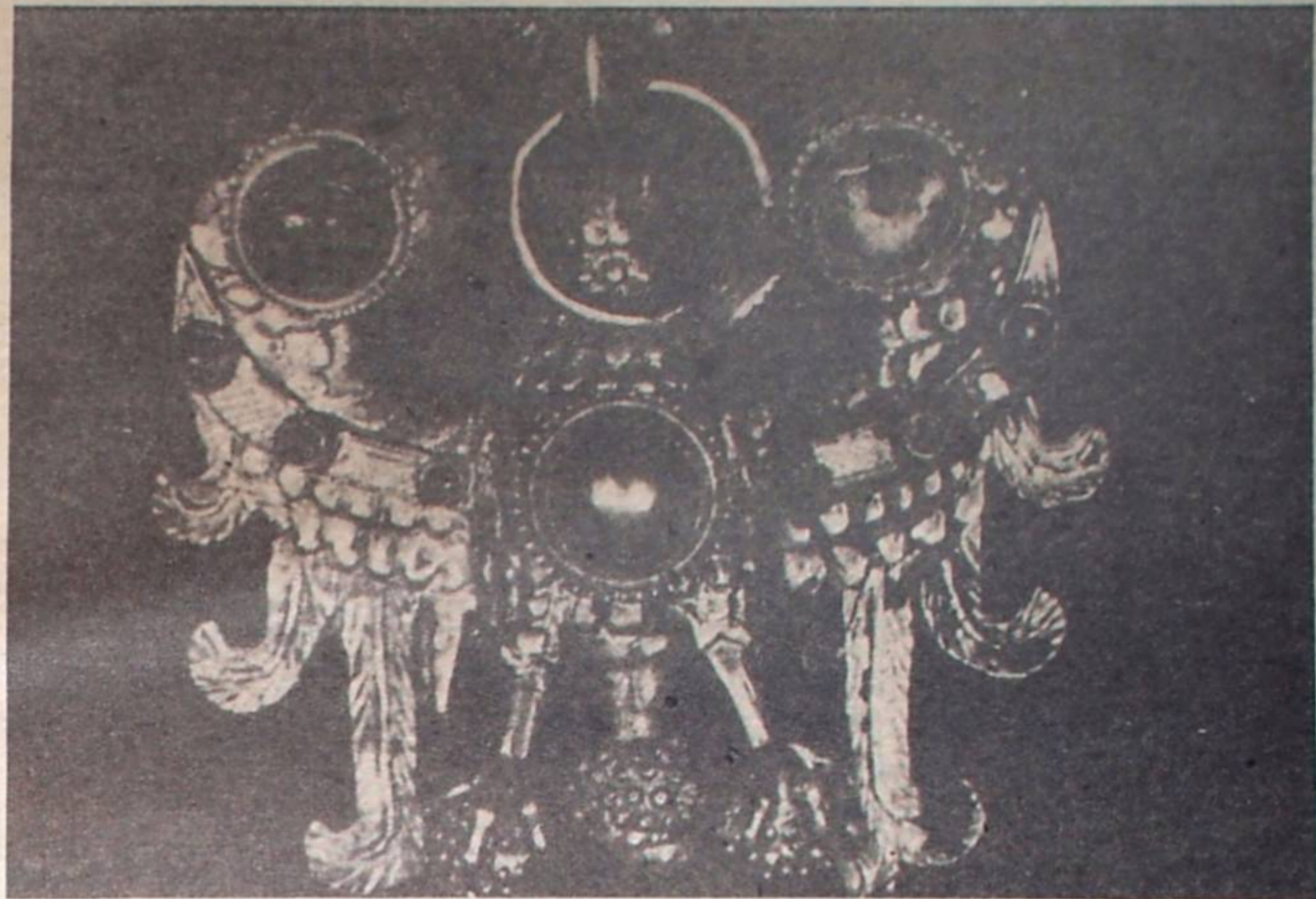
bie miejscowego księcia, karczmarza, wędrownego kupca.

Podobnie zresztą nie poddano dokładnym badaniom skorup garnków z wykopu, które leżały sobie spokojnie przez parę tygodni w szafie średniego muzeum. Do tej pory nie ustalono nawet dokładnie, czy był jeden czy dwa garnki. Czyż można się jednak dziwić, skoro nie ma pełnej fachowej dokumentacji znaleziska, a zdjęcia, reportersko nawet niezłe, robił amator ze Srody? Na ul. Daszyńskiego zdążono już wzniesć ściany budynku, wysypisko przewrócono do góry ziemią, a w Srodzie odbyła się w tym czasie jedna sensowna narada poświęcona ratowaniu skarbu. Zupełnie jakby szło o wykopanie nowego szamba, a nie zabytek europejskiej kultury...

Dr Tadeusz Kaletyn: „Przyczyną skandalu jest arogancja wobec przepisów o ochronie dóbr kultury. Kamienica przy Daszyńskiego nie jest pierwszym zabytkowym obiektem wyburzonym w Srodzie. Wcześniej uległ zagładzie inny dom przy tej ulicy, przy ulicy Kościuszki, bóżnica, kościół ewangelicki. Kamienice po prostu podkopano, żeby z czasem same się zawałyły. Przy II Armii Wojska Polskiego budowlani uparcie niszczyli nasz wykop archeologiczny, bo wstrzymywaliśmy im robotę. Dla nich liczą się tylko terminy i harmonogram, a działka archeologiczna przedstawia jedynie wartość placu pod budowę. Ale jeśli naczelnik nie wie, że jego miasto znajduje się w reje-strze dóbr kultury, to czego można wymagać od majstra? Dla odmiany, od Owczarenki, dyrektora muzeum i historyka, mającego u siebie dwóch innych zawodowych historyków, można wymagać, żeby wiedział, co robić ze znaleziskiem. A on tymczasem grzebie z dziećmi po wysypisku... Konserwator wojewódzki, którzy dotąd w Srodzie prawie nie bywał, teraz śledzi w muzeum na okrągło. Władze, tuszujące wcześniej burzenie obiektów zabytkowych, obecnie nagłaśniają sprawę spieprzenia przez nas roboty i wołają wielkim głosem, że miasto musi z tego skarbu coś mieć. A oni go przecież mieli cały czas i gdyby nie rozebrano tamtej kamienicy, leżałby sobie spokojnie w ziemi! Obojętnie, co się dziś na ten temat powie, nad wszystkim ciąży złoto. Nie historyczny skarb, ale zwyczajne złoto”.

Konserwator wojewódzki, Józef Cempa: „Absolutnie nie wydałem zezwolenia na wyburzenie. Opierałem się do końca, choć nikt nie dopatrywał się szczególnych wartości architektonicznych w tej kamienicy. Walczyłem o nią nawet wtedy, gdy runęły ściany. Chciałem ocalić choć fronton jako oryginalny element pierzei. Też się nie udało. Z drugiej jednak strony: jeśli na przykład z pałacu wyszabrowano obrazy i żyrandole, a budynek popadł w ruinę, to co jest lepsze ze społecznego punktu widzenia — rozbiórka, czy rudery? Większość starych budynków w Srodzie, w ogóle na Dolnym Śląsku, jest w katastrofalnym stanie technicznym. Wieleletnie zaniedbania zrobiły swoje. Budowlani utrzymują, że konstrukcje nie wytrzymają remontów i zwykle mają rację. Ja mam takie obiekty chronić, więc je chronię, a wszyscy się mnie pytają: po co — przecież nie ma w nich nic pięknego?”

Zresztą, skoro mamy mówić o zaniedbaniach w sprawie skarbu, nie to jest istotne. Istotne są błędy popełnione w metodologii działań. Zgadza się, że w pierwszych dniach można było ten skarb odnaleźć, lecz zaniedbaliśmy pewne ślady. Natomiast już fatalne w skutkach było zaniechanie poszukiwań na wysypisku po 4 czerwca. Dyr. Kaletyn twierdzi, że nie nie wiedział o złocie, a monety zostały wybrane. W takim razie po co przykrył teren warstwą ziemi, jeśli nie tam już nie ma? Szef WOAK w ogóle nie wiedział o złocie, a kontaktował w tej sprawie. Owszem, służby archeologiczne podlegają mi, ale to przecież są fachowcy i mam prawo polegać na ich wiedzy i doświadczeniu. Czy dyrektor fabryki też ma stać nad spawaczem albo frezerem? Kaletyn twierdził, że jego obecność na konferencji w Rydzynie jest niezbędna, a na wysypisku wszystko jest O. K. Fakt zorganizowania do posu-



Fragment diademu. Czy orzeł Hohenstauffów pomoże wyjaśnić zagadkę skarbu?

Fot. Stanisław Palasiewicz

kiwań grupy zomowców, pod nadzorem jednego człowieka, na niezabezpieczonym terenie, urąga wszelkim zasadom naszej pracy.

Ja nie twierdzą, że nie popełniłem błędów i jestem bez winy. Ale co innego błędy, a co innego całkowita odpowiedzialność. Nigdy nie można powiedzieć, że zrobiło się wszystko, jednakże nie chciałbym mieć świadomości, że nie zrobiliśmy czegoś co leżało w zakresie naszych możliwości i stanu wiedzy w tamtym czasie. Chciałbym zobaczyć tę kolekcję w całości, eksponowaną w jednym miejscu i może byłaby to jakaś rekompensata za chwile goryczy jakiego przeżyłem”.

Dyrektor Lucjan Owczarenko: „Nie jestem historykiem sztuki ani archeologiem, a jedynie historykiem i muzealnikiem. Zrobiłem to, co leżało w zasięgu moich możliwości i kompetencji. O biżuterii nikt, absolutnie nikt, nie mógł mieć wtedy pojęcia, bo nie było ku temu najmniejszych przesłanek. Dzisiaj wszyscy są bardzo mądry, Kaletyn siedzi na wysypisku, udziela wywiadów i opowiada, jak to dla własnych ambicji nieudolnie skupowałem monety i bezmyślnie rozpocząłem poszukiwania z dziećmi, których nawet nie umiałem dopilnować. A czyż kopanie z dziećmi jest czymś bardziej nagannym niż przetrząsanie ziemi przez zomowców? Czy w Lublinie dyrektor muzeum nie zrobiłby wszystkiego, żeby przejąć numizmaty wykopane na jego terenie? To złoto przyszło nagle, ta sytuacja nas przerosła...”

Ostatniego dnia pobytu w Srodzie Śląskiej miałem i ja lut szczęścia. Jako pierwszy dziennikarz zapoznałem się z koncepcją wyjaśnienia zagadki pochodzenia skarbu. To znaczy, pierwszą jej poważną próbą. Jej autor, Reiner Sachs, jest Niemcem, pracownikiem Instytutu Historii Architektury, Sztuki i Techniki Politechniki Wrocławskiej. Absolwent historii, historii sztuki i archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego, od 16 lat mieszka w Polsce i zajmuje się średnio-wieczną ikonografią, zlotnictwem i kulturą dworską. W badaniach nad insygniami władzy jest cenionym, uznanym fachowcem. Ze skarbem średzkim zetknął się w czasie przygotowywania ekspertyzy dla wojewody wrocławskiego.

„Po zapoznaniu się z częścią kolekcji osobiście, z częścią z fotografii, doszedłem do wniosku, że mamy do czy-

nienia z elementami jednego ornatu — to jest uroczystego, dworskiego stroju książęcego. Najpóźniejszy jego element datuję na trzydzieste lata XIII wieku, na wpływ lub naśladowanie szkoły Mikołaja z Werdenu, tzw. szkoły nadmozańskiej. Jest to artystycznie najlepszy z diademów zachowanych w Europie. Również piękna fibula, czyli zapina do szaty wierzchniej, posiada cechy identyfikujące. Osadzony w niej onyks lub gemma należą do elementów insygnialnych przysługujących wyłącznie cesarskiej rodzinie Hohenstauffów. Natomiast sygnet i zausznice noszą cechy wpływów wschodnich, choć nie można ich jednoznacznie wiązać z tradycją Bizancjum.

Te, pobieżnie, tylko tu zarysowane, cechy biżuterii zestawilem z przekazem historycznym z połowy XIII wieku. Ówczesny latopis ruski podaje, że w 1241 roku książę czernichowski, Włodzimierz Wsiewołodowicz, uciekając przed najazdem Tatarów, udał się do swojego wuja Konrada Mazowieckiego i dalej na Śląsk. Tutaj, w Srodzie Śląskiej, zamordowano i obrabowano, jego córkę. Książniczka ta była właśnie spokrewniona z rodziną cesarską.

Odbiciem tego znanego faktu historycznego były późniejsze liczne legendy mówiące jednak o zabójstwie książniczki tatarskiej i odwetowej akcji Batu-chana. Najbardziej znanym jej zapisem jest niemiecka wersja zawarta w „Legendzie o św. Jadwidze” wydanej przez Baumgardta w 1504 roku we Wrocławiu. Także inne zapisy niemieckie i czeskie zbieżne są z pierwowzorem historycznym, choć biorą za ofiarę książczkę tatarską, a nie ruską.

Tradycja przez setki lat wiązała legendy z konkretnym budynkiem, który mieszkańcy Srody wskazywali jako miejsce, dokonania zbrodni. Studiując XVIII-wieczne spisy podatkowe, zlokalizowałem je jako posesję przy Konstadtstrasse 14, czyli powojennej Wołczyńskiej, a dzisiejszej Daszyńskiego 14. Układ zabudowy nie uległ w tym rejonie zmianom od średniowiecza, zatem bajanie o miejscu zbrodni zyskało autentyczny dowód rzeczowy”.

Zaiste, niezwykle figle płała los! Można sądzić, że zbrodnia na tak ważnej osobie musiała wyjść na jaw, a zabójców stracono. Zdołali oni jednak ukryć zdobyc, zakopując ją na poziomie podłogi ówczesnego domu. Sto lat później, jakiś nowy jego właściciel ukrył w piwnicy srebrne i złote mo-

nety, nieświadom, że nad nim spoczywają klejnoty. Po prawie 750 latach koparka naruszyła tajemnicę. Dziś wiadomo już, że oba skarby wykopano prawie równocześnie i z tej samej budowy. Wszystko wskazuje na to, że złoto zakopał... morderca. Kto jednak ukrył monety?

Reinera Sachsa nie interesuje wy-mierna wartość znaleziska. Nie ukrywa oburzenia na dziennikarzy za rzucanie milionowych kwot, które rozbu-dziły ludzką chciwość. „Ostatnią podobnej klasy biżuterię — twierdzi — li-cytowano w 1807 roku, więc jaka może być aukcyjna wartość tego znale-ziska, skąd te sumy? W ogóle cała atmosfera sensacji wokół skarbu wy-rządziła wiele zła. Od początku popeł-niano błędy wynikłe z ignorancji i e-goizmu. Widzi pan, jestem Niemcem i tu, we Wrocławiu, traktują mnie, jako coś w rodzaju «piątej kolumny». Nie byłem bezpośrednio zaangażowany w poszukiwania i badania nad skar-bem, choć pan Cempa konsultował się ze mną. Mogę na tę sprawę patrzeć bardziej ogólnie, bo mam odpowiednią interdyscyplinarną wiedzę, mogę rów-nież być w miarę obiektywny. Ale bez emocji nie umiem się temu wszystkiemu przyglądać. Mam uznanie dla osamotnionych wysiłków Cempa, choć wiem, że gdyby twardo egzekwował swoje uprawnienia, zyskałby o wiele więcej. Staralem się też coś w tej sprawie zrobić. Jestem koresponden-tem pism fachowych z dziedziny hi-storii sztuki i zlotnictwa ukazujących się na Zachodzie. Wysłalem więc opis kolekcji, zdjęcia, prosiłem o pomoc przyjaciół. Pisałem, że tak unikalny za-bytek światowej kultury nie powinien ulec zniszczeniu, rozproszeniu. Boję się jednak, że to już się stało.

Prasa zachodnia żywo interesowała się skarbem ze Srody, było sporo re-lacji własnych i cytowanych za prasą polską. I to bynajmniej nie był przy-jemny obraz...”

Nie wiem, czy wśród mieszkańców Srody rozejdą się pogłoski o przekleń-stwie złota zamordowanej książniczki. Faktem jest przekleństwo własnej nie-mocy i demoralizacji. Ten szczególny rodzaj fanfaronady, która w wyracho-waniu szuka obywatelskich postaw, kompromitację nazywa sensacją a po-rażką — sukcesem.

# Polonia to też szansa...

**W** POLSCE działa ponad 700 firm polonijnych. Ich obroty sięgają milionów dolarów i milionów złotych. Są liczącymi się, często jedynymi, wytwórcami w elektronice, chemii, produkcji tworzyw sztucznych, aparatury medycznej, konfekcji. Rozwijają ceną produkcję kooperacyjną, działalność doradczą, eksportowo-importową. Przeciętnemu Polakowi kojarzą się jednak z wytwarzaniem kebabu, sprzedają komputery i „Prusakolepu”. Przeciętny Polak wyobraża sobie Polonusa jako takiego, którego na Zachodzie stać co najwyżej na prowadzenie knajpy z bigosem i schabowym, małego sklepiku czy fabryczki, gdzie „na lewo” harują rodacy ze Starego Kraju.

Tymczasem Polonia dzisiejsza jest trzecim co do wielkości zasobów kapitałowych środowiskiem imigracyjnym na świecie. Środowiskiem dobrze zorganizowanym i silnym ekonomicznie. Nasi rodacy w Europie Zachodniej i za oceanem prowadzą duże własne firmy, a także są udziałowcami obcych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Zasiadają w radach nadzorczych poważnych konsorcjów finansowych i utrzymują kontakty z wieloma środowiskami światowego biznesu. W fatalnej sytuacji ekonomicznej, w jakiej się obecnie znaleźliśmy, współpraca z polonijnym biznesem jest realną szansą na postęp.

Tegoroczne XIV Polonijne Forum Gospodarcze, które odbyło się w Poznaniu, zgromadziło rekordową liczbę 216 uczestników, z których 123 przybyło na tę imprezę po raz pierwszy. Zainteresowanie polonijnych przedsiębiorców wynikiem, wedle mojej opinii, nie tyle ze sprzyjających, co z pogarszających się warunków prowadzenia interesów w Polsce i chęci ostrożnego korzystnego ich uregulowania. Z drugiej strony, wydarzenia ostatnich tygodni: upadek rządu, przygotowania do dialogu z opozycją, exposé sejmowe premiera Rakowskiego i powołanie nowego gabinetu obudziły nadzieje na radykalne zmiany w polskiej polityce ekonomicznej.

Nowa ustawa o działalności kapitału zagranicznego miała zostać uchwalona 27 września. Była powszechnie krytykowana zarówno przez środowiska polonijne jak i m.in. przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Radę Społeczno-Gospodarczą, PRON. Szczęśliwie dla losów tej ustawy rząd upadł we właściwym momencie, a nowy premier zwrócił się do marszałka Sejmu o jej wycofanie z porządku obrad.

Mieczysław F. Rakowski wziął udział w obradach plenarnych pierwszego dnia forum w podwójnej roli — również jako przewodniczący Komitetu Ekonomicznego Towarzystwa „Polonia”. Jego osoba spotkała się z powszechną sympatią, a wystąpienie z aprobatą i z uznaniem. Wpierw jednak musiał wysłuchać wielu gorzkich uwag pod adresem zmienionej w 1983 roku ustawy, powodującej stagnację działalności firm polonijnych i zakłócenie rachunku ekonomicznego. Jako ówczesny wicepremier, akceptował on wszak w pewnym stopniu te niekorzystne rozwiązania.

„Przyznam — powiedział w Poznaniu, a cytuję jego słowa z notatek — że dziś znacznie lepiej rozumiem problemy działalności gospodarczej Polonii niż w 1982 roku, kiedy przygotowywałem projekt ustawy. Zajmowałem się wówczas innymi sprawami i te, wazsze, w moim widzeniu priorytetów schodziły na plan dalszy”. Przypominając następnie swoje sejmowe exposé z 13 października, premier złożył zapewnienie o trwałości obranych kierunków zmian ekonomicznych, które określił jako powrót do normalności we wszystkich dziedzinach. Zapowiedział liberalizację przepisów prawnych, likwidację systemu stalinowskiego w gospodarce oraz zapewnił, że projekt ustawy o działalności gospodarczej kapitału zagranicznego, jaki trafił do Sejmu, uwzględni zmiany postulowane w projekcie społecznym.

„Naszym celem — oświadczył M. Rakowski — jest ożywienie gospodarcze w Polsce przy wykorzystaniu wszystkich istniejących możliwości. Musimy odejść od pewnych schematów, które mocno zakotwiczyły się nie tylko w przepisach, ale przede wszystkim w umysłowości urzędników państwowych. Mamy jedyny strategiczny surowiec, o niewyczerpanych zasobach: zdolność myślenia i inicjatywa jednostki. Tę inicjatywę musimy uwolnić z gorsetu, którzy przez całe lata zaciskaliśmy”.

„Dlaczego możecie mi wierzyć? — padło z ust premiera. — Dlatego, że chcę odnieść sukces. Ten sukces może być i waszym udziałem. Przeszkody z papieru nie są twierdzą nie do pokonania”.

Bez wątpienia forma wystąpienia premiera różni się istotnie od tego, do czego nas publicznie przyzwyczailiśmy. Ostatnie doniesienia o pierwszych decyzjach i doświadczeniach rządu wróżą lepszą „prognozę pogody”. Aby jednak formuła deklaracyjna zmieniła charakter na normatywny, muszą zostać wprowadzone istotne gwarancje.

Bodaj czy nie najważniejszą z nich jest uproszczenie i stabilizacja przepisów prawnych dotyczących działalności kapitału zagranicznego, w tym przedsiębiorstw polonijnych, w Polsce. Wspomniana nowelizacja ustawy z 1983 roku spowodowała nie tylko kilkuletni zastój, ale również przeświadczenie, że w Polsce wszystko jest możliwe, a reguły gry można dowolnie zmieniać z dnia na dzień. Chodzi już nie o poprawienie istniejących ustaw (zresztą z licznymi delegacjami prawnymi i dużą dowolnością interpretacji), lecz o jedną, zupełnie nową, ustawę regulującą trwale warunki inwestowania w Polsce. Obejmowałaby ona zarówno przedsiębiorstwa zagraniczne i polonijne, jak też i spółki mieszane (joint venture). Ustawa taka powinna ograniczyć wpływ aktów prawnych niższego rzędu na zakładanie i funkcjonowanie tych firm, ale przede wszystkim wyeliminować rozległe uprawnienia terenowych organów administracji państwowej. Dzisiejsza sytuacja jest taka, że co niektóre władze wojewódzkie za punkt ambicji stawiają sobie niewpuszczenie firm polonijnych, a nasz region bynajmniej do chlubnych wyjątków nie należy.

Uważam, że powstawanie spółek powinno odbywać się na zasadzie restrykcji, na warunkach ogólnych, zaś unormowanie szczegółowe opowinien przejąć Kodeks Handlowy z 1932 r. „Nie rozumiem — twierdził w czasie dyskusji na forum jeden z biznesmenów — po co mnożyć przepisy, skoro istnieją stare, wyrobowane. Mój dziadek i mój ojciec korzystali z Kodeksu Handlowego, ja również. Jeśli jest potrzeba — nowelizujmy jego przepisy, a nie poprawiajmy w nieskończoność niedoskonałe ustawy”.

Drugi, równie ważny, kompleks postulatów dotyczy polityki podatkowo-celnej i transferu dewiz. Kapitał zagraniczny ma w tym względzie w Polsce formalnie gorsze warunki niż w ZSRR, na Węgrzech i w Jugosławii, a także w Czechosłowacji i w Bułgarii. Zapewnienie możliwości swobodnego transferu całości zysku dewizowego za granicę i obniżenia podatku dochodowego z 30 proc. na 25 proc., pozwoli uznać przyjęte rozwiązania za preferencyjne. Inaczej, mimo sentymentów, polonijne kapitały popłyną tam, gdzie kuszą lepszymi warunkami. Dlaczego akurat stopa 25 proc. podatku dochodowego? Jest to poziom zbliżony do krajów zachodnich i jednocześnie o kilka punktów korzystniejszy od istniejącego w krajach socjalistycznych. Konieczna jest również likwidacja ceł na szereg towarów, w szczególności na import zaopatrzeniowy, inwestycyjny oraz eksport starych maszyn i urządzeń.

W tym miejscu trzeba jasno postawić sprawę zrównania uprawnień polskich partnerów w spółkach mieszanych. Jeśli mamy mówić o inicjatywie, musi ona mieć dwustronne podstawy ekonomiczne, opierać się o te same zasady prawne i dawać równe korzyści. Co ciekawe, i warto to podkreślić, o prawa polskich partnerów upomnieli się właśnie polonijni biznesmeni!

Sprawa rynku kapitałowego. Ta zajęła najwięcej uwagi na poznańskim spotkaniu. Chodzi o powołanie instytucji finansowych umożliwiających obsługę kapitałową inwestycji i handlu. A więc: utworzenie normalnego rynku akcji i obligacji, wymienności walut, autentyczna obsługa bankowa operacji ekonomicznych. O ogromnej krytyce poddano Bank PKO S.A. Domagano się utworzenia w kraju Banku „Polonia” S.A., jako instytucji wiarygodnej dla kraju i zagranicy. Sprawa jest niesłychanej wagi. Istnieją wielkie aktywa polonijnych przemysłowców i prywatnych osób polskiego pochodzenia rozproszone w zachodnich bankach. Istnieją polonijne, lub z polonijnymi udziałami, duże instytucje kredytowo-finansowe (np. amerykańska Polsko-Słoweńska Unia Kredytowa). Istnieją, wreszcie, znaczne zasoby dewizowe Polaków w kra-

ju, ukryte w bieliźniarkach i portfelach. Wszystkie te dolary są martwe z punktu widzenia interesów polskiej gospodarki. Powołanie nowego banku byłoby szansą ich przyciągnięcia.

Oczywiście, nakreślone przeze mnie trzy grupy spraw do załatwienia, nie wyczerpują problemu. Z innych kwestii, o charakterze „technicznym”, warto przypomnieć postulaty powołania rządowej agencji ds. współpracy z Polonia, utworzenia centrali handlu zagranicznego przy Towarzystwie „Polonia”, dobrowolność zrzeszenia się przedsiębiorstw w „INTERPOLCOM-ie”. Uczestnicy XIV Polonijnego Forum Gospodarczego ułożyli listę 15 zasadniczych postulatów pod adresem nowej ustawy, wytonili swoją reprezentację do ich pełnego opracowania i przedłożenia rządowi premiera Rakowskiego.

Co może oznaczać dla Polski współpraca gospodarcza z Polonia, szerzej z kapitałem zagranicznym? Po pierwsze, oczywiście, napływ do kraju dewiz, technologii, licencji. W ślad za tym — nowoczesnych technik organizacji i zarządzania, praktyki solidnej pracy, upowszechnienie sposobów „robienia interesów”. I to już od paru lat jest zjawiskiem widocznym. Po drugie — jest szansą otwarcia się na Europę i świat, wyjścia z polską ofertą eksportową i tworzenia spółek mieszanych poza granicami kraju. Po trzecie — możliwością ekspansji ekonomicznej na kraje socjalistyczne, zwłaszcza na ogromny rynek radziecki, na który nasi rodacy za granicą mają zdaje się większy apetyt niż my tutaj — w kraju. Po czwarte — poważne wzbogacenie rynku i oferty usług. Wreszcie — konwersja długu, szansa zmniejszenia zadłużenia przez przeznaczenie spłat odsetek na różne fundacje, czy inwestycje ekologiczne.

Istnieje co najmniej kilka powodów, dla których obcy kapitał jest zainteresowany inwestowaniem w Polsce. To m. in. niższe koszty wytwarzania lub koszty kapitałowe, nowe rynki i źródła surowców, mniejsze wahania koniunktury. W przypadku Polonii gra rolę silny sentyment, ale i możliwość wsparcia własnych działań polityką ekonomiczną rządu. Polonia bez związków z krajem traci wiele ze swej sily, my bez Polonii tracimy sporo atutów. Trzeba sobie jednak wyraźnie powiedzieć, że to my przeżywaćmy kryzys i my potrzebujemy pomocy. Toteż przygotowywane rozwiązania prawne nie mogą być ustalone przetargowo, lecz uwzględniać przede wszystkim interesy ekonomiczne polonijnego i zagranicznego kapitału. On bowiem poniesie koszt i ryzyko.

Kryzys polskiej gospodarki powoduje, że chętnie i dużo mówi się dziś o poziomie dna, na które opadliśmy i niemożności osiągnięcia szybkiego sukcesu prostymi metodami. Można jednak odwrócić ten problem, pytając o granicę rozwoju pewnych dziedzin, które tak widziane otwierają ogromne możliwości. Okazuje się, że gdzie indziej nie tak czarno ocenia się szanse polskiej gospodarki i nadzieje na dobre interesy w Polsce. Rozmowa (tekst nieautoryzowany) z Janem Kulczykiem, biznesmenem z Berlina Zachodniego, doktorem prawa, absolwentem prawa i ekonomii UAM w Poznaniu, jest reprezentatywna dla sposobu myślenia uczestników XIV Polonijnego Forum Gospodarczego w Poznaniu.



Jan Kulczyk  
Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

— Reprezentuje Pan Klub Przemysłowców i Handlowców Pochodzenia Polskiego, tzw. Klub Berliński. Pierwotnie nie mieliście uczestniczyć w forum. Skąd ta nagła zmiana decyzji?

— Istotnie, zachęceniu ogólnym zastojem w Polsce, brakiem konkretnych inicjatyw gospodarczych posta-

nowiliśmy nie brać udziału w obradach. Exposé sejmowe premiera Rakowskiego, powołanie nowego gabinetu zmieniło sytuację i stąd moja obecność w Poznaniu.

— Liczy pan na to, że ta nowa sytuacja się utrwali?

— Tak. Opieram to przekonanie na trzech przesłankach. Po pierwsze — na osobowości samego premiera. Po drugie — na składzie rządu, gdzie znaleźli się ludzie z różnych sektorów. Po trzecie — na zapowiedzi przedstawienia środka ciężkości na rolnictwo i przemysł rolno-spożywczy.

— I właśnie o tym chciałbym rozmawiać. Pan jest autorem tezy, że Polska miałaby żywić Europę...

— Absolutnie nigdy tego nie powiedziałem. Twierdzę natomiast, że Polska może być potęgą w produkcji rolnej. Dlaczego tak uważam? Nasze rolnictwo ma potencjalnie jedne z najlepszych warunków rozwoju w świecie: gleby, położenie, klimat, historyczne tradycje. Kultura rolna, jako taka, stoi w Polsce na dość wysokim poziomie.

— Rolnictwo uchodzi przecież powszechnie za symbol zacofania...

— Technicznego, zgoda. Ale powtarzam jeszcze raz, że kultura rolna jest dość wysoka, relatywnie wyższa niż kultura techniczna. A to, plus korzystne warunki, o których wspominałem, sprawia, że szanse postępu w rolnictwie są dużo większe niż w wielu dziedzinach przemysłu, gdzie topi się ogromne środki bez widoków na nowoczesność i wzrost eksportu. Polskie rolnictwo wymaga doinwestowania w maszyny, środki ochrony roślin, nawozy, meliorację, ale przede wszystkim w przemysł przetwórczy. W tej chwili tracimy bardzo poważnie, eksportując surowiec. Przykładem rzepak, w którego produkcji Polska jest światowym potentatem, zaś w przetwórstwie nie liczy się zupełnie. Istnieje konieczność przybliżenia zakładów przetwórczych do rejonów produkcji rolnej, a nie wożenia surowca kilometrami po kraju. To nie muszą być wielkie przetwórnice, wręcz przeciwnie.

— Mówi pan o nowoczesności, o mechanizacji. Przy takiej strukturze gospodarstwa?

— A kto powiedział, że mechanizacja musi się odbywać indywidualnie? Są rozwiązania uznane w Polsce i wypracowane na Zachodzie. Kółka rolnicze, państwowe ośrodki maszynowe. Forma własności tu nie odgrywa roli, tylko dostępność środków produkcji i ekwiwalentność ich użycia. Mechanizacja jest kosztowna wszędzie, indywidualnie dostępna tylko dla dużych gospodarstw, stąd dążenie do niej będzie zapewne wpływać korzystnie na zwiększanie powierzchni upraw. Uważam także za konieczne likwidację monopolu zaopatrzenia rolnictwa i skupu artykułów rolnych. Chłop nie może być skazywany na jednego dostawcę i jednego odbiorcę. (Decyzja w tej sprawie już zapadła! — L. W.)

— Sądzi pan, że mamy szansę specjalizować się w pewnych dziedzinach „produkcji rolnej”?

— My musimy się specjalizować. Skoro rolnictwo zostało potraktowane priorytetowo, musi również wyłonić własne priorytety. O co chodzi? Myślę o naszej wymianie artykułów rolniczych i spożywczych z Europejską Wspólnotą Gospodarczą. Import rolno do krajów EWG nie jest bezpośrednio powiązany z eksportem ze Wspólnoty. Należy połączyć import z eksportem i zainteresować zachodnich importerów eksportem do Polski. W tej chwili kierunki import — eksport są rozbieżne, a bariery ochronne dla rolnictwa, np. zachodniemieckie, trudne do sforsowania. Musimy więc zdecydować się na specjalizację i postawić na komplementarność wymiany handlowej.

Nasi partnerzy, myślę o Klubie Berlińskim i Zachodniemieckim Związku Przemysłowców i Handlowców Polskiego Pochodzenia, są tym przedsięwzięciem bardzo zainteresowani. A mając poparcie największych banków i konserwów można patrzeć optymistycznie.

— Co w takim razie trzeba jeszcze zrobić?

— Zlikwidować ok. 3/4 istniejących przepisów krepujących inicjatywę i hamujących skłonność do inwestowania w Polsce. Muszą powstać warunki konkurencyjne w sensie międzynarodowym. Zdaniem naszym i naszych zachodnich partnerów muszą one być pewniejsze niż oferują inni. W obecnej sytuacji kapitały uciekają na inne lepsze niż gdzie indziej, gwarancje obszary.

L. W.



## DEBIUT

anna trachlińska

motyw  
z jaskółką

samotnym; starym ludziom

oni mają całe kupiaty wrażeń  
wąskie uliczki z włosów  
zasuszone jaskółki  
przelatują roztrzaskając skrzydła  
pod zwiędniętym niebem  
nigdy nie wyjdą na światło  
dziennego ogniska  
nigdy nie zostaną  
osądzone  
zardzewieją w sobie  
jak stalówki od kurzu  
przestraszą pustką ich oczy  
niby umarłego

## przesłuchanie

usiadłam  
naprzeciwko pustego fotela  
miliony pytań z przeszłości  
zdzierają ze mnie  
ostatni promyk życia  
wraz z sukienką

siedziałam  
z lustrem szklanych oczu  
wbitych  
w ścianę podłogi



Rys. Józef Tarłowski

nie potrafię już pisać  
wiersze  
toną mi w myślach  
jak zmarszczki na ciele  
wrastają  
w skronie  
i czekają  
na powiew  
zimnego powietrza  
dla ukojenia bólu

trudno mi się zgodzić  
na milczenie

## kromka chleba

znalazłam na chodniku  
kromkę suchego chleba  
mały  
podniesiony z ziemi okruc  
ludzkiej pracy

ucalowałam jego ciepłość  
ruchem ściśniętej dłoni

# Po IV Międzynarodowym Konkursie Młodych Skrzypków w Lublinie

## Sami nie wiemy, co posiadamy

Irena Filus

**W**IELU ludzi zapytanych, na czym polega fenomen lubelskiego konkursu i czy jest on w ogóle fenomenem, wyraża zgodne opinie, których sumą prowadzi do następujących wniosków:

Przede wszystkim członkowie Towarzystwa Muzycznego wpadli przed laty na dobry pomysł. A że znalazł się wśród nich dyrektor tegoż Towarzystwa, noszącego imię Henryka Wieniawskiego oraz dwóch skrzypków, pomysł zaczął rozwijać się w czyn i zyskiwać powodzenie. Przy szalejącej inflacji, braku warunków dla tego na szeroką skalę zakrojonego przedsięwzięcia i przy wielu innych pomniejszych niedogodnościach udało się doprowadzić do niezwykle wysokiego poziomu artystycznego imprezy, co odbija się coraz głośniejszym echem w całym świecie muzycznym.

Po wtóre — w tamtym okresie, a był to początek lat siedemdziesiątych, było wiadomo, że mamy w Polsce znakomitych nauczycieli gry skrzypcowej i oni to właśnie, działając niekiedy nie w wielkich ośrodkach, wyluskują talenty spośród swoich podopiecznych. Z czasem okazało się, iż polska pedagogika wiolinistyczna przebiega do przodu i w czasie ogólnopolskich konfrontacji powtarzają się nazwiska, dla których osiągnięcia w dziedzinie kształcenia małych dzieci stały się chlebem powszednim. Są to: nieżyjący już prof. Oskar Ruppel z Lublina, inicjator i juror konkursów, którego uczennica, Elżbieta Głęb, laureatka I konkursu, występuje z ogromnym powodzeniem na estradach całego świata; prof. Stanisław Lewandowski, współtwórca sukcesów Adama Taubica oraz Beaty Warykiewicz, która po lubelskim zwycięstwie odniosła ogromny sukces zdobywając I nagrodę w Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym w Australii; prof. Stanisław Hajzer, którego uczniami byli między innymi zdobywcy tegorocznych pierwszych nagród oraz laureatka kilku konkursów międzynarodowych Dorota Siuda; prof. Antoni Cofalik, pod którego kierunkiem zaczął się kształcić Kazimierz Olechowski, późniejszy uczeń prof. Zenona Brzewskiego, a zarazem znakomity skrzypek odnoszący coraz większe sukcesy; prof. Jadwiga Kaliszewska z Poznania i prof. Iwona Wojciechowska z Łodzi, przywożące na każdy konkurs liczną grupę znakomicie przygotowanych uczniów (obecnie uczniem pierwszej jest Bartłomiej Nizioł); wreszcie prof. Zenon Brzewski, przewodniczący jury i pedagog, pod którego kierunkiem pracuje Kazimierz Olechowski, a ostatnio również Monika Jarecka.

Należy tutaj też wspomnieć, a może przede wszystkim przypomnieć, nazwisko prof. Ireny Dubiskiej, która od początku towarzyszy lubelskim konkursom, ostatnio już tylko jako gość honorowy. Zdaję sobie sprawę, że nie wymieniam tutaj całej rzeszy znakomitych polskich skrzypków i pedagogów, ale zapewniam, że ich liczebność wystarczyłaby na napisanie oddzielnego artykułu.

Patronat nad imprezą objął profesor Akademii Muzycznej w Warszawie, Zenon Brzewski, nie tylko dobry pomysłodawca, ale i organizator, bo nie ma chyba nigdzie na świecie kursów interpretacji muzycznej podobnych tym, jakie z jego inicjatywy odbywają się co roku w Łańcucie od czternastu lat. Dzięki swoim wożom po świecie i różnorodnym kontaktom jest również w stanie zapewnić Lublinowi takie jury, jakiego nie ma nawet pozańska impreza, bądź co bądź renomowana i z dużymi tradycjami, bo przecież odwiedzają nas miasto takie osobistości jak: Władimir Awramow, były profesor i rektor Akademii Muzycznej w Sofii, skrzypek ze znanego kwartetu swego imienia, Michael Frischenschlager, dziekan Wydziału Instrumentalnego Konserwatorium w Wiedniu, Franco Fisch, dyrektor słynnych konkursów muzycznych w Genewie, Petru Munteanu, Rumun od dwudziestu lat zamieszkały

w RFN, profesor konserwatoriów w Hamburgu i Lubece, inicjator kursów letnich w Kloster Schontal, Ryutaro Iwabuchi, skrzypek, dyrygent orkiestry kameralnej z Kobe, Roman Lasocki, koncertujący odwórcą dzieł, zwłaszcza muzyki dwudziestowiecznej i współtwórca współczesnego repertuaru, Robert Masters, były dyrektor szkoły Menuhina dla utalentowanych dzieci, wieloletni leader kwartetu smyczkowego oraz inicjator letnich kursów im. Y. Menuhina w Gstaad w Szwajcarii, Mirosław Rusin, laureat konkursów skrzypcowych im. H. Wieniawskiego i P. Czajkowskiego, profesor Instytutu Muzycznego w Moskiewie, ostatnio prezes Klubu Miłośników Muzyki Henryka Wieniawskiego na tamtym terenie, Zhang Shijang, znakomity pedagog z konserwatorium w Szanghaju, którego dwóch uczniów

montuje kilka programów telewizyjnych z udziałem laureatów lubelskiego konkursu, które mają szansę wyjść w szeroki świat.

Dlaczego o tym mówię? Otóż lubelski konkurs, mimo swojej niewątpliwiej wartości i atrakcyjności, nie ustrzegł się błędów, a raczej, niedociągnięć, z których dwa, moim zdaniem najważniejsze, są ciągle do naprawienia. Pierwsza rzecz to sprawa promocji młodych wykonawców. Koncerty nagrodzonych powinny się odbywać w dobrych salach na terenie całego kraju przy dobrej publiczności. Należałoby opuścić salę szkoły muzycznej. Jest to, przy braku tego typu miejsc, jedyne możliwe miejsce dla przesłuchań konkursowych, ale właściwie — pomijając stałych uczestników i gości imprezy — niedostępne dla większej grupy melomanów. Do zorganizowania

## Zwycięzcy w 1988 r.

Grupa młodszą do 16 lat:

1. Bartłomiej Nizioł — Polska
2. ex aequo:  
Natalia Priszczepienko — ZSRR  
Axel Strauss — RFN
3. ex aequo:  
Natalia Korsakowa — ZSRR  
Nikolaj Madojew — ZSRR
4. Xie Nan — Chiny
5. ex aequo:  
Mariko Aikawa — Japonia  
Nikolaus Boewer — NRD

Grupa starsza od 16 do 18 lat:

1. Monika Jarecka — Polska
2. ex aequo:  
Qing Zhong — Chiny  
Dalia Stulgite — ZSRR
3. nie przyznano
4. Hui Jin — Chiny
5. ex aequo:  
Ekaterina Popova — Bułgaria  
Arkadij Gutnikow — ZSRR

na poprzednim konkursie sięgnęło po największe laury, Werner Scholz, najbardziej ceniony pedagog w NRD, profesor konserwatorium w Berlinie, przewodniczący jury konkursów Bacha w Lipsku, profesor wielu laureatów, między innymi słynnej ostatnio Antje Weithaas, Zbigniew Szleser, profesor Akademii Muzycznej w Krakowie, Roman Totenberg, urodzony w Warszawie, obecnie profesor konserwatorium w Bostonie, niestrudzony



Bartłomiej Nizioł, laureat I nagrody w grupie do lat 16

Fot. Mirosław Trembecki

propagator na tamtym terenie muzyki polskiej, Xavier Turull, wieloletni dyrektor konserwatorium w Barcelonie i wreszcie lublinianin, Edward Zienkowski, pierwszy koncertmistrz orkiestry radiowej w Kolonii, na tym konkursie reprezentant Belgii, gdzie stale mieszka. Jeśli do tego dodamy nazwiska Jadwigi Kaliszewskiej i Iwony Wojciechowskiej otrzymujemy jury o wszechstronnej kompetencji. Ale nie chodzi tu tylko o względy czysto artystyczne. Zaprezentowanie przed takim gremium grupy naszej utalentowanej młodzieży dodaje splendoru polskiej sztuce i przynosi korzyści na przyszłość. Polscy pedagodzy i skrzypkowie coraz częściej zapraszani są za granicę, gdzie powielają swoje sukcesy. W konkretnych przypadkach płyną z tego jeszcze inne korzyści. Prof. Xavier Turull przywiózł prosto od banku katalońskiego zaproszenie dla najlepszych skrzypków na koncerty do Barcelony, co wiąże się z niebagatelnym honorarium tysiąca dolarów dla każdego. Prof. Roman Lasocki już

pierwej wspomnianych recitali powinno się włączyć Krajowe Biuro Koncertowe, do drugich — Lubelska Filharmonia. Inną sprawą jest niedostateczna propaganda, a co za tym idzie natychmiastowa konieczność zorganizowania Biura Prasowego z prawdziwego zdarzenia. Niektóre informacje, zawarte w powyższym tekście, skrzętnie i na własną odpowiedzialność gromadziłam podczas całego konkursu. Obecność tylu znakomitych gości powoduje, iż impreza staje się kopalnią materiałów dziennikarskich, z czego nie zdaję sobie sprawy środki masowego przekazu.

Rezultatem tego są sporadyczne wzmianki o konkursie, często zresztą niezbyt fachowe, upstrzone licznymi błędami przypadkowo wysłanych z lokalnych redakcji osób. A przecież znajdują się, zarówno w kraju, jak i za granicą, fachowcy zajmujący się krytyką muzyczną, dla których przyjazd do Lublina byłby interesującym doświadczeniem.

Byłam świadkiem, kiedy Bartłomiej Nizioł udzielał wywiadu, przez telefon, dziennikarzowi „Głosu Szczecińskiego” (albowiem Bartek pochodzi ze Szczecina); tenże dziennikarz, podobno bardzo zaangażowany w publicystykę muzyczną, na pewno chętnie odwiedziłby nasze miasto. I nie tylko on, z czego mielibyśmy korzyści w postaci licznych publikacji, mogące konkurować na przykład z... olimpiadą sportową.

Sukcesy w jakiejś dziedzinie powodują, że człowiek staje się czynnym lub biernym jej miłośnikiem i w ten sposób rodzą się jego zainteresowania. Jak wiemy, z muzykalnością naszego społeczeństwa nie jest najlepiej. Wieloletnie sposoby upowszechniania muzyki nie dały żadnych rezultatów. Widzę jednak inną drogę, która jeśli nawet okaże się nie tą właściwą, to wejście na nią nikomu nie zaszkodzi. Przypatrzmy się wzrastającej popularności konkursów chopinowskich czy chociażby dobrze „sprzedanego” festiwalu w Łańcucie. To samo może się dzieć na każdej dobrze zorganizowanej imprezie muzycznej. I dlatego trzeba ludziom nie tylko kazać słuchać, ale jeszcze pokazywać. I na to muszą się znaleźć pieniądze. Zarówno na reklamę, jak i na koncerty, co, być może, pozwoli wychować publiczność, bez której przecież żaden artysta nie może się obejść. No a poza tym czas wreszcie zdać sobie sprawę z tego, że posiadamy coś bardzo cennego — polską sztukę, a w szczególności polską muzykę, której wartości nie da się zmierzyć.

**J**UŻ jako młody robotnik fabryk lubelskich Tadeusz Dymowski spędził kilka lat w więzieniach carskich za działalność rewolucyjną. Od wczesnej młodości do końca życia brał czynny udział w najbardziej dramatycznych i przełomowych momentach w życiu Lublina pierwszej połowy naszego stulecia. Znamienny wpływ na siedemnastoletniego robotnika ślusarskiego wywarła rewolucja 1905 roku, w czasie której za udział w strajku został wydalony z fabryki i osadzony na Zamku Lubelskim. Gdy odradzała się Polska na początku listopada 1918 roku, jako działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, był współorganizatorem Lubelskiej Rady Delegatów Robotniczych — pierwszej w kraju władzy proletariackiej. W styczniu 1919 roku został wybrany na posła do Sejmu Ustawodawczego z listy PPS. W okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej stopniowo wiązał się ideowo z ruchem rewolucyjnym. Od 1945 roku sprawował przez kilka lat godność przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie.

szkańców Puław, Krańnika, Janowa, Bilgoraja i Rejowca. W okresie rewolucji 1905 roku na polecenie OKR PPS organizował wystąpienia chłopskie i strajki rolne w okolicach Lublina i Janowa.

W styczniu 1908 roku został aresztowany i oskarżony o współudział w zamachach dokonywanych przez bojówkę PPS oraz zesłany na trzy lata do guberni tomskiej. Po powrocie do Lublina w 1911 roku pracował w fabryce W. Hessa i tam zastał go wybuch I wojny światowej. W 1915 roku został ponownie aresztowany przez żandarmerię carską wraz z grupą 47 członków

PPS. Po latach tak sam wspominał następstwa aresztowania:

„Po przeprowadzeniu śledztwa wysłano nas do Moskwy, w parę miesięcy później stanąłem przed sądem wojennym w Smoleńsku, dostałem dwa lata twierdzy. Wyrok odsiadywałem w Smoleńsku, a później w Moskwie, gdzie zostałem zwolniony z więzienia w wyniku rewolucji lutowej 1917 roku. Wkrótce zostałem skierowany do sanatorium na Krymie jako chory na płuca. Po odbyciu leczenia wyjechałem do Symferopola, gdzie pracowałem w fabryce samolotów. Organizowałem tam koła PPS, a po zwycięstwie Rewolu-

go. Znano go wówczas z częstych spotkań w środowiskach robotniczych i chłopskich. W Sejmie pracował do 1922 roku w Komisji Opieki Społecznej oraz Komisji Robót Publicznych i w tych sprawach zabierał głos.

Jako poseł nadal czynnie uczestniczył w pracach organizacyjnych partii. Był delegatem na Kongres Zjednoczeniowy PPS w Krakowie w kwietniu 1919 roku. W połowie tegoż roku, jako działacz związkowy, brał udział w zjednoczeniowej naradzie klasowych związków zawodowych w Warszawie, na której wybrano go do władz centralnych. Został również członkiem Zarządu Głównego Związku Zawodowego Robotników Przemysłu Metalowego w Polsce. Warto też podkreślić, że w 1922 roku Dymowski był kandydatem PPS w wyborach do Sejmu z listy państwowej. Natomiast w 1925 roku nawiązał bliższy kontakt z Komunistyczną Partią Polski, a w czerwcu 1926 roku na krajowej konferencji delegatów opozycyjnych organizacji PPS w Krakowie został wybrany pierwszym przewodniczącym Komitetu Wykonawczego nowej rewolucyjnej partii, która przybrała nazwę PPS - Lewica. Od sierpnia tegoż roku był przewodniczącym Komitetu Okręgowego PPS - Lewicy w Lublinie. Z funkcji tej wycofał się na skutek represji policyjnych oraz choroby na gruźlicę. Od 1929 roku był członkiem, a następnie prezesem zarządu koła Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych w Lublinie. Działalność wówczas wspólnie z Władysławem Kunickim, Tomaszem Lasockim i Kazimierzem Janczarskim.

## W setną rocznicę urodzin TADEUSZ DYMOWSKI

Józef Marczuk

Setna rocznica urodzin Tadeusza Dymowskiego skłania do refleksji. Oto jak obecnie charakteryzuje jego osobowość wieloletni współtowarzysz walki i pracy, znany w Lublinie działacz PPS, Marian Chojnowski:

„Dymowski był człowiekiem pracowitym i uczciwym, a nade wszystko odważnym i ideowym. Na jego postawę ideową socjalisty niewątpliwie wpływ wywarł pobyt w Rosji w czasie Rewolucji Październikowej. W pracy zawodowej i społecznej cechowała go sumienność i wytrwałość w wykonywaniu przyjętych na siebie obowiązków. Oznaczał się życzliwością, a jednocześnie wrażliwością na ludzką krzywdę. Wiedzę zdobywał poprzez samokształcenie, był umiejętnym i sugestywnym agitator-em, lecz słabszym mówcą. Pasjonowała go działalność spółdzielcza, pozostał jej wierny do końca życia”.

Tadeusz Dymowski urodził się 25 października 1888 roku we wsi Kliny koło Lublina w rodzinie robotnika rolnego. Po ukończeniu w 1902 roku szkoły elementarnej pracował w fabryce maszyn rolniczych W. Maritza w Lublinie i równocześnie zdobywał kwalifikacje ślusarza. W 1905 roku wstąpił do PPS, a w roku do Organizacji Bojowej tej partii. Zajął się kolportowaniem literatury partyjnej wśród robotników fabryk lubelskich oraz mie-



cji Październikowej stanąłem na czele miejscowej kolonii polskiej”.

Do Lublina powrócił Dymowski w 1918 roku podejmując działalność w PPS, wkrótce został członkiem OKR tej partii. 5 listopada wszedł z ramienia PPS w skład Lubelskiej Rady Delegatów Robotniczych i jej Komitetu Wykonawczego.

W listopadzie 1918 roku Lublin stał się na krótko siedzibą Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, mającego wpływ na kształtowanie się niepodległego państwa. Tocząca się w tym mieście walka o władzę na przełomie lat 1918—1919 najostrej ujawniła się podczas kampanii wyborczej do Sejmu Ustawodawczego. Jako kandydat na posła z listy PPS Dymowski brał żywy udział w agitacji wyborczej w fabrykach lubelskich i w okolicach Lublina. Porywał robotników swym prostym, lecz komunikatywnym językiem. Zyskiwał sobie wśród nich poparcie i uznanie. Był posłem z okręgu wyborczego Lublina oraz powiatów lubelskiego, lubartowskiego i puławskie-

A co było źródłem utrzymania Tadeusza Dymowskiego? Niemal przez cały okres międzywojenny (od 1922 r.) był robotnikiem w Wydziale Gospodarczym Magistratu w Lublinie. W tym okresie bliżej poznał życie codzienne samorządu miejskiego i jego problemy. Przez ponad 30 lat pracował społecznie w Lubelskiej Spółdzielni Spożywców. Należał do grona jej założycieli na początku 1913 roku wraz z Janem Hemplem, Bolesławem Bierutem, Wandą Papiewską, Józefem Dominko i Oktawianem Zagrobskim. Przez 20 lat (1923—1943) był członkiem Rady Nadzorczej, później jej przewodniczącym (1944—1946), a w latach 1926—1944 także członkiem Zarządu LSS. Jako spółdzielca rozwijał działalność ideowo-wychowawczą w środowisku robotniczym.

# Pani Thatcher

Dokończenie ze str. 1

sięgało beznadziei, rosło bezrobocie, szwankowało funkcjonowanie służb publicznych. Brytania, straciwszy już imperium, zdawała się tracić nawet godność. Dziś na pojęcie epoki nie składają się, być może, nawet sukcesy gospodarcze; rządowi „żelaznej damy” przypisuje się przede wszystkim głębokie zmiany w narodowej psychice.

Anglia końca lat osiemdziesiątych ma coś z syndromu „złotej klatki”. Skutki drastycznego ograniczenia dotacji na cele społeczne budzą powszechną irytację, dusi się kultura (muzea rozważają możliwość wprowadzenia opłat dla zwiedzających i gorączkowo poszukują sponsorów), twarde absolutyzm krępuje nawet torysowskie poczucie indywidualizmu i narusza zasady partyjnej kolegiatności. Z drugiej zaś strony, coraz wyraźniej formująca się wizja społeczeństwa zasobnych egocentryków kusi. Spadło bezrobocie, pocztą dostarcza przesyłki terminowo, służby państwowe działają bez zarzutu. Oto namacalnie dostrzegalne skutki reform pani premier. Głosy wyborców zdobywa się detalami przekształcającymi codzienność. Pozostaje problem rozwydrzonych futbolowych fanów, aroganckich turystów, stanowiących zmore Europe, ale na zasadzie equilibrium, piętnaście szkół wprowadziło już system wychowania etycznego, odwołującego się do dawnych reguł zachowania — szacunku dla rodziców i miłości do zwierząt. Jak powiedział do mnie warszawski korespondent BBC Martin Sixsmith, „Wizerunek angielskiego gentlemana zbladł, ale wciąż jeszcze zachowujemy sporą dozę ucywilizowania i — co ważniejsze — jednostkowej odrębności”. Sama pani Thatcher, której agresywnie przedsięwzięte społeczeństwo oskarża się właśnie

o upadek obyczajów, powitała Nowy Rok 1988 wezwaniem do przywrócenia tradycyjnych brytyjskich norm — akceptacji zasad fair-play i kulturowania nawyku uprzejmości. Większość Brytyjczyków przyznało w jednej z ankiet, iż uważa pogoń za bogactwem za rzecz wulgarną, a chciwość za zbrodnię gorszą niż morderstwo.

Kiedy Margaret Thatcher obejmowała rząd, jej doświadczenie polityczne ograniczało się do krótkiego terminowania na stanowisku ministra oświaty w gabinecie Edwarda Heatha. Wslawiła się wówczas likwidacją gratisowej szklanki mleka dla uczniów, zyskując przydomek „Maggie Thatcher the milk snatcher” (porywaczka mleka). W 1981 roku jej akcje też nie stały wysoko, ale wrodzone zdolności przywódcze — upór, bezkompromisowość i tak ważne w działalności polityka szczęście — zaczęły szybko procentować. Witając powracające po wojnie falklandzkiej wojska, wiedziała, że wybiła jej godzina. Zapewniła sobie ponowny wybór i zyskała czas.

Pierwszym wyzwaniem nowo sformowanego gabinetu okazała się konfrontacja narzucona przez wszechwładny dotąd TUC (Trade Union Congress — Brytyjskie Związki Zawodowe). Niewielu obserwatorów rokowało pani Thatcher nadzieje zwycięstwa w tej walce. Poprzedni rząd Harolda Wilsona musiał ustąpić, szkanowany i osłabiany strajkami i groźbą strajków. Rosła spirala żądań płacowych, co pogłębiało dodatkowo nierównowagę rynkową i nakreślało inflację. Szybko jednak przywódcy związkowi, a zwłaszcza Związek Zawodowy Górników, przekonali się, iż w nowej pani premier znaleźli przeciwnika twardego i nieustępliwego. Powielając w istocie zastosowaną wcześniej przez prezydenta Reagana metodę likwidacji strajków z pomocą konstytucyjnie zagwarantowanego interwencjonizmu państwa, Margaret Thatcher zmusiła związkowców do porzu-

cenia drogi konfrontacji. To wówczas wypowiedziała znamienne słowa: „Głosowanie związkowe jest tylko wtedy dobre, jeśli nie jest głosowaniem za strajkiem”. Było to jej pierwsze wielkie zwycięstwo polityczne. To właśnie w owym czasie zyskała sobie słynny przydomek — the iron lady.

Kolejnym krokiem na drodze usprawnienia zasad funkcjonowania państwa była jej szeroko zakrojona reforma administracji. Margaret Thatcher zredukowała znacznie liczbę personelu biurowego ministerstwa i urzędów centralnych, pozbywając się „całej tej biurokratycznej magmy, z równą łatwością znajdującej argumenty za, jak i przeciw danej sprawie”. Postawiła na ludzi energicznych, kompetentnych, o wyraźnym profilu charakterologicznym. Ministrowie podlegli pani premier mają nietatwe życie. Poza wszystkim bowiem innym jest ona osobą niezwykle pracowitą i wymagającą. Wcześniej zaczyna pracę, a nocne wezwania do rezydencji przy Downing Street podlegających jej ludzi wcale nie należą do rzadkości. Nawiązując do porównań dokonywanych z królową Elżbietą I, jeden z ministrów powiedział z wyrzutem, iż pani Thatcher jest osobą jeszcze bardziej kapryśną i surową w ocenie dokonań swoich współpracowników. Dla powodzenia programu zmian, nie bez znaczenia pozostaje także ostentacyjnie eksponowana przez Margaret Thatcher jej „angielskość”.

„Angielskość” — to pojęcie szersze niż jedynie luźny zbiór cech narodowych ukształtowanych na Wyspach. „To — jak pisał znany holenderski dziennikarz Peter Brusse — koncepcja na życie, która od paru stuleci zadziwiająco się sprawdza”. Owe, tak dobrze znane z historii pryncypia brytyjskiego zdrowo-rozsądkowego realizmu, wraz z panią Thatcher znów stały się doktryną. Nie ulega wątpliwości, że przywróciła ona nad Tamizą poczucie narodowej tożsamości.

Popierając w istocie tendencje integracyjne w zachodniej Europie, strzeże ona zarazem pilnie partykularnych interesów własnego kraju. Na pierwszym po wyborze posiedzeniu szefów rządów EWG zażądała rewaloryzacji brytyjskiego wkładu walutowego. Uderzając w stół powiedziała: „Chcę

# Życie z książką

Zofia Mikulska



W okresie okupacji niemieckiej niósł pomoc aresztowanym i więzniom politycznym na Zamku Lubelskim i w obozie na Majdanku. W 1940 roku został aresztowany przez gestapo i przez pewien czas więziony. W 1943 roku nawiązał bliski kontakt z PPR. Od tego czasu jego mieszkanie było punktem kontaktów uczestników lewicowego ruchu oporu oraz ośrodkiem kolportażu nielegalnej literatury dostarczanej do obozów w Trawnikach i w Lublinie przy ulicy Lópowej. W czerwcu 1944 roku, ostrzeżony przez Mariana Chojnowskiego o grożącym mu aresztowaniu przez gestapo, wyjechał na wieś.

W lipcu 1944 roku powrócił do Lublina, wstąpił do PPR i podjął pracę w Zarządzie Miejskim. Wkrótce został radnym, zaś od 12 czerwca 1945 roku do 28 czerwca 1948 roku pełnił z wyboru funkcję przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie. Na stanowisku tym, w trudnym okresie odbudowy powojennej miasta, dbał szczególnie o rozwój gospodarki komunalnej i poprawę apro wizacji ludności. Był inicjatorem utworzenia Miejskiego Funduszu Budownictwa Mieszkaniowego oraz odrębnego Biura Kontroli, którego zadaniem była wnikliwa kontrola pracy wydziałów Zarządu Miejskiego i przedsiębiorstw miejskich. Usilnie domagał się rozszerzenia uprawnień i ożywienia pracy komisji problemowych Rady. Jego działalność samorządową w Miejskiej Radzie Narodowej następująco wspomina adwokat Aleksander Czapski, poseł Krajowej Rady Narodowej, który z ramienia odrodzonej PPS był wówczas wiceprzewodniczącym MRN w Lublinie:

„Tadeusz Dymowski, kierując pracą Rady miał wiele taktu, żeby przeprowadzić inwestycje najbardziej potrzebne ludności i nie ulegać dominacji władzy wykonawczej. Na pierwszy pian wysuwał sprawy mieszkaniowe ludności biednej. Dbał o to, żeby Rada była w pełni ciałem uchwałodawczym. Był człowiekiem tolerancyjnym, szanował poglądy i stanowiska radnych o odmiennych orientacjach politycznych i dochodził z nimi do porozumienia. Zawsze miał tylko na względzie dobro miasta i za to był ceniony zarówno przez przyjaciół, jak też przez mądrych przeciwników politycznych”.

Pogarszający się stan zdrowia Dymowskiego dawał coraz bardziej znać o sobie. W połowie 1948 roku zrezygnował z pracy w Radzie. Zmarł 13 maja 1949 roku. W uznaniu zasług dla miasta jedną z ulic Lublina nazwano jego imieniem.

JEST w Lublinie pamięć osób, których nieobecność kłóci się z autentycznością osobowości miasta. Lublin bez Araszkiewicza, Bielskiego, Gralewskiego, Aleksego, Jaworskiego to jak bez placu Litewskiego, Bramy Krakowskiej i koziółka na Trynitarstwie. Do tych obecnych nieobecnych zalicza się Maria Gawarecka. Kto przekraczał bramę (kiedyś była) Narutowicza 4, by znaleźć się w oazie ciszy i umysłowego skupienia, bibliotece, nie mógł nie zetknąć się z tym nazwiskiem. Tym bardziej, że dla biblioteki było „rodzinne”. Kazimiera Gawarecka przez długi czas była poprzedniczką swej synowej na stanowisku dyrektora tej placówki.

Maria Gawarecka pełniła funkcję dyrektora Wojewódzkiej, następnie wicedyrektora Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie. W sumie trzydziści pięć lat! Ale nie stopień w hierarchii administracyjnej stanowi o jej obecności w kulturze miasta. Coś więcej: poszanowanie słowa drukowanego, działalność na rzecz jego skutkowania u innych, ambicjonowanie otoczenia w kierunku podnoszenia kwalifikacji i poszerzania wiedzy, inspiracja w tworzeniu organizacyjnych form upowszechniania kultury.

Była dyrektorką nietypową. W tym sensie, że swoją kierowniczą funkcję pełniła nie naciskiem stanowiska, lecz poddawaniem możliwości awansu podwładnym, zaszczerpieniem uznania dla rzeczywistych wartości umysłowych, otwarciem na system pojęć wolnych od prowincjonalnych pomniejszych. Własną osobą wreszcie. Dyrektor, który nie rządził: pociągał przykładem. Ba, zmuszał do wyjścia poza wąsko pojęty pragmatyczny zakres czynności bibliotekarza. Ten temat obecnie wchodzi na wokandy rozważań profesjonalnych, tym więc aktualniej będzie podnieść, że Maria Gawarecka wcześniej optowała za takim charakterem bibliotekarstwa, według którego nie jest ono tylko aparatem dystrybucji. Bibliotekarz ma być sprzymierzeńcem i przewodnikiem czytelnika, a nie ekspedientem, którego czynność polega na zdjęciu z półki żądanego towaru. Więc jak odejść od samokształcenia, czytania, poszerzania orientacji nie tylko w produkcji

wydawniczej, ale w ogóle w dorobku kultury, utrwalonym przez wynalazek Gutenberga? Jak poprzestać na zdawkowej prawidłowości technicznej, a nie nabywać wiadomości mogących być przydatnymi czytelnikowi jakimś tematem zainteresowanemu? Problem, to nie sygnatura w katalogu. Nie wyobrażamy sobie, żeby tak traktował tę pracę np. Zeromski, przecież kiedyś też bibliotekarz (w Muzeum Narodowym Polskim w Rapperswilu).

Maria Gawarecka zajęcia wykraczające poza wąski praktyczny czynności bibliotekarskich uważała nie za godną uznania, ale nieobowiązkową nadwyżkę, nie za ozdobić będącą „sprawą prywatną” bibliotekarza. Uważała za konieczny warunek orientacji w sprawach, które biblioteka ma społeczności przybliżyć i osiągnięcia pracownika na tym polu traktowała jako wpis na konto kierownictwa. Dziś zdarza się i taka odzywka: „Pani nie pracuje, pani czyta” do bibliotekarki, która w chwili wolnej od automatyki dnia rzuciła okiem do czasopisma; nie spotkałaby się z tym zarzutem, gdyby z książki zdjęła oprawę po to, by ją ponownie złożyć; wtedy byłaby zajęta czymś „rzeczymowym”, a nie „beprzedmiotowym” dlubaniem w szpaltach. Taki to zamiast „arki przymierza” kontrast „między dawnymi a nowymi laty”.

Była więc tradycjonalistką? Była. Nie mogła nie być z racji wieku, z racji odebrania wpływu środowiska, w którym wyrosła i pracowała. Dodać jednak należy, że tylko tradycjonalistką dziś wartość w postępowaniu i traktowaniu spraw, jeśli się z taką stykają. Współcześni uważają ją za muzealny eksponat, anachronizm do skwitowania pobożaniem. Sami nie wiedzą, że legitymując zjawiska ich metryką, skazują się na pozory, w najlepszym razie na przypadkowość akcydentalistów. W kategoriach bibliotecznych: czy książka jest czymś wtórnym, dodatkiem do karty katalogowej? Czy czytelnik jest tylko funktorem statystyki, względnie intruzem, jak to bywa z klientami w niektórych sklepach? Maria Gawarecka, mimo że dyrektor, a więc kierownik instytucji zainteresowany dokonaniem spektakularnymi, bo te argumentują na rzecz pozytywnej oceny placówki w sposób naoczny, oddzielała formalną prawidłowość od

merytorycznej skuteczności. Zachęcała do studiów, do rozszerzania umysłowego horyzontu nie uważając, że składa się na nie czas odjęty odkurzaniu regałów.

Była jedną z tych, dzięki którym książka żyje. Dzięki którym jest środkiem umysłowej komunikacji, a nie przedmiotem, choć nobliwym, to zalegającym półki magazynu. Maria Gawarecka na wielu polach realizowała swoją pasję upowszechniania skłonności do czerpania z tego źródła wiedzy i wzruszeń, które pulsuje w drukowanym słowie. Była sekretarzem Wojewódzkiej Rady Czytelnictwa i Książki, przewodniczącą Zarządu Okręgowego Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, inicjowała imprezy w Dniach Oświaty, Książki i Prasy, na temat czytelnictwa napisała wiele artykułów, zamieszczonych w prasie profesjonalnej i czasopiśmie kulturalnych. Opracowała kilka monografii z przeszłości kulturalnej Lublina, m. in. „Lata międzywojenne w życiu teatralnym Lublina”, „Lubelskie Towarzystwo Muzyczne (1898—1939)”, „Lubelskie Towarzystwo Szerzenia Oświaty pod nazwą «Światło» (1906—1917)”.

Lubelskie środowisko bibliotekarskie widzi w niej kontynuatora idei Hieronima Łopacińskiego, jednego ze sprawców godności zawodu. Przeżyła osiemdziesiąt lat, zmarła 19 lutego 1986 roku. Gdyby w Lublinie powstała galeria figur woskowych, wizerunek Marii Gawareckiej byłby tam nieodzowny. Ale to tryb warunkowy. Bezwarunkowo już jest: życie do naśladowania!

z powrotem swoje pieniądze”. Naraziło ją to na zarzut aplikowania do polityki praktyk „gospodyni domowej”, ale w konsekwencji zapewniło przewrotnie pozycję swoistego wspólnorzynekowego arbitra. (Jej ostatnia wizyta w Hiszpanii jest tego najlepszym dowodem). Przejmując jako bazę koncepcję amerykańskiego ekonomisty Milтона Friedmana, nie wahała się nigdy naginać jej do swoich wyobrażeń, kiedy tylko uznała to za stosowne. Oskarżana o autorytarność, nie liczenie się z powszechnymi odczuciami, kreowanie kultu własnej osoby nie przestaje forsować swej wizji społeczeństwa funkcjonującego ściśle według reguł ekonomii. Jak napisał ostatnio złośliwie Paul Barker w „Sunday Telegraph”, „jej oczy skierowane są na świetlaną przyszłość: arcydzieło społecznej inżynierii gdzie, poprzez stosowanie politycznych nacisków i w atmosferze hucpy, odmiennie się angielska wola. Efektem będzie nowe, zatrważające piękno — czysto indywidualistyczne społeczeństwo”. A jednak odwoływanie się przez panią premier do prostych zasad sterowania budżetem domowym, lansowania dewizy: „pracuj dobrze za dobre wynagrodzenie, oszczędzaj na czarną godzinę i szanuj policję” przyjmowane jest niezwykłe dobrze przez gros Brytyjczyków. Ekonomiczne myślenie pani Thatcher jest powrotem do korzeni.

O ile na początku swej politycznej drogi „żelazna Maggie” wiedziała niewiele o strukturach własnego państwa, o tyle na polityce międzynarodowej znała się jeszcze mniej. Jej sukces w tej dziedzinie stanowi zatem całkiem swoisty ewenement. Od lat cieszy się ona przyjaźnią Ronalda Reagana i zaskarbiła sobie także uznanie Michaiła Gorbaczowa. Już w grudniu 1984 roku, przed swoim wyborem na stanowisko sekretarza generalnego KC KPZR, odwiedził on Londyn, przeprowadzając szereg konstruktywnych rozmów. „Z tym człowiekiem można robić interesy” — powiedziała wówczas Margaret Thatcher. Udając się na drugi amerykańsko-radziecki szczyt do Waszyngtonu Michaił Gorbaczow zatrzymał się ponownie nad Tamizą, aby wysłuchać „autorytatywnego głosu Europy”. Brytyjska premier odwiedziła także Moskwę. Udało się zatem „żelaznej damie” ocalić coś, co wydawało się nie do ocalenia — ważkość brytyjskiego głosu w sprawach o globalnym znaczeniu. Właśnie owa szczególna



pozycja Anglii w zachodnim aliansie wyznaczy także bez wątpienia rangę wizyty pani Thatcher w naszym kraju.

Margaret Thatcher posiada w Polsce zadziwiająco dobrą prasę. „Jeszcze dziesięć lat temu, byłoby rzeczą nie do pomyślenia — powiedział jeden z zachodnich korespondentów — by tak konserwatywny polityk mógł zyskać w Warszawie jakiegokolwiek uznania”. A jednak byłoby uproszczeniem umieszczanie tej wizyty wyłącznie po ideologicznej stronie bilansu. Po pierwsze, „żelazna dama” jest partnerem politycznym najwyższej światowej rangi. Po drugie, nasza własna sytuacja gospodarcza w poważnym stopniu przypomina tę, jaką zastała w swoim kraju pani Thatcher tuż po objęciu rządów. Po trzecie wreszcie, istnieje ogromne zaniedbania w sferze polsko-brytyjskich stosunków bilateralnych. Od powojny stosunki te pozostają w

istocie nijakie. W europejskim systemie naczyń połączonych stwarza to sytuację anormalną. Sama wymiana kulturalna już zapewne obu stronom nie wystarcza.

Z Anglikami nigdy nie rozmawiało się łatwo. (Ale niełatwo rozmawiało się z nimi także „Solidarności”). Ciężko nad naszymi stosunkami dawne, nierozwiązane, jak dotąd, problemy: wciąż urzędujący w Londynie polski rząd — a trapa, sprawa sprowadzenia do kraju prochów generała Sikorskiego, czemu Margaret Thatcher od dawna się przeciwstawia, problemy wizowe polskiej turystyki. W dobie ogólnoeuropejskiej „pieriestrojki” relacja Warszawa — Londyn i w ogóle Londyn — kraje socjalistyczne wygląda na anachronizm. Szybkie zmiany leżą w interesie obu stron. Epoka „splendid isolation” należy już do przeszłości. To także część prawdy o polskich odwiedzinach brytyjskiego premiera.

O wadze, jaką przykładem do wizyty pani Thatcher polska strona, świadczy przesunięcie jej terminu, ze względu na realizowany w tym czasie proces formowania nowego rządu. Zapytany, czy nie kryją się za tym uboczne motywacje, rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban powiedział: „Nie. Kryje się za tym wyłącznie troska o powodzenie pierwszej w dziejach wizyty premiera brytyjskiego rządu w Polsce”. Agendę rozmów wypełnią przede wszystkim sprawy gospodarcze. Z całą pewnością wielu spośród ekonomicznych recept pani Thatcher nie da się u nas zastosować. Wymiana doświadczeń w tej dziedzinie będzie miała jednak swój głęboki sens. Znając kontrowersyjność „niekoronowanej królowej Anglii” niewykluczona wydaje się możliwość zaistnienia w Warszawie jakiejś politycznej rewelacji. Wizyta ta będzie bowiem także czymś nowym i dla naszego brytyjskiego gościa. Z uwagi na historyczne konotacje polsko-angielskie, a także na osobowość pani premier, już dziś wizyta ta stanowi swoistą sensację w politycznym kalendarzu Europy.

Oby wypełniła oczekiwania!

Wiesław Horabik



## XIV - wieczny Sherlock Holmes

**P**O obejrzeniu filmu francuskiego reżysera Jeana-Jacquesa Annauda „Imię róży” widzowie nabierają ochoty na przeczytanie książki Umberto Eco, na której podstawie film został nakręcony. Inni, którzy „Imię róży” przeczytali zanim wybrali się do kina, podziwiają mistrzostwo twórców scenariusza. Potrafili oni sprawić, że ogromny, ponad pięćsetstronicowy, tekst powieści sięgającej do różnych wątków, do historii, filozofii, średniowiecznej obyczajowości, wreszcie do... „kryminalistyki” — nie został strywalizowany, a sensu i wymowy dzieła literackiego nie zagubiono w przekładzie na język ekranu. A przecież projekcja „Imienia róży” Annauda trwa tylko niewiele ponad dwie godziny!

Trzeba tutaj jednak pamiętać, że wśród czteroosobowego zespołu, opracowującego scenariusz, znajdował się fachowiec tej miary, co Gérard Brach, wieloletni współpracownik Romana Polańskiego. A ostatnie słowo, jeśli chodzi o kształt artystyczny filmu, należało do reżysera, który jest nie tylko zdolnym twórcą filmowym (oglądaliśmy jego „Czarne i białe w kolorze”, film nagrodzony w 1978 r. „Oscarem” oraz „Walkę o ogień”), ale także — o czym mało kto wie — mediewistą, znawcą kultury średniowiecza.

Właśnie w okresie późnego średniowiecza, w latach trzydziestych czternastego stulecia, umieścił Umberto Eco akcję „Imienia róży”. Chrześcijańską Europą wstrząsały wówczas religijne schizmy, teologiczne dysputy (często absurdalne z dzisiejszego punktu widzenia), a na stosach płonęli ludzie z wyroków Inkwizycji. Wtedy to właśnie w jednym z klasztorów benedyktynów, gdzieś w północnej Italii, ma się odbyć pomiędzy przedstawicielami zakonu franciszkanów, a wysłannikami papieża, wielka dysputa na temat: czy Chrystus był właścicielem szat, które nosił? A co za tym idzie: czy Kościół powinien przykładać wagę do gromadzenia dóbr materialnych?

Tutaj wchodzimy, za Umberto Eco, w niezwykle gęszcz ówczesnych idei, poglądów, przekonań — religijnych, politycznych, społecznych. A także — w nie znany zupełnie przeciętnemu czytelnikowi obszar wiedzy o ówczesnych religijnych ugrupowa-

niach, sektach itp., jak np. sekta Dulcyna, którego wyznawcy mordowali (w imię wyznawanej idei ubóstwa) bogaczy i rozdzielali ich dobra wśród biedaków...

Kanwą, na której umieszcza swoją opowieść autor „Imienia róży”, jest wątek kryminalny: pasmo tajemniczych śmierci zakonników w murach górskiego opactwa benedyktynów, klasztoru, który słynie na cały ówczesny chrześcijański świat ze swej wspaniałej biblioteki i gdzie, podobno, znajduje się unikalny II tom „Poetyki” Arystotelesa: dzieło na temat komedii, śmiechu i ich zbawiennej roli dla egzystencji w społeczeństwie... Z wątkiem kryminalnym łączy się wątek detektywistyczny: przybyły na dysputę religijną uczonego franciszkanina, Wilhelm z Baskerville, któremu towarzyszą młody zakonny nowicjusz, Adso z Melku, rozpoczynają, na prośbę opata, dochodzenie w celu wyjaśnienia serii zbrodni...

Czytelnikowi książki lub widzowi filmu, nietrudno się zorientować, że Umberto Eco zdecydował się na ukłon w stronę ojca powieści detektywistycznej, Artura Conan Doyle'a, oraz bohatera jego książek, ascetycznego samotnika Sherlocka Holmesa, którego „metody” raz po raz przezierają w sposobie rozwiązywania kryminalnych zagadek przez XIV-wiecznego mnicha, byłego inkwizytora, Wilhelma z Baskerville(!). Do swego ucznia i pomocnika w tropieniu zbrodni, którego imię, Adso, dziwnie przypomina w wymowie angielskiej brzmienie nazwiska Watson, zwraca się Wilhelm niejednokrotnie, nieczym Holmes do dr. Watsona: „Mój drogi Adso, to elementarne!”. Jak Holmes, tak i Wilhelm z Baskerville opiera się w swym śledztwie na metodzie intelektualnej dedukcji, choć owa dedukcja, odmiennie niż w przypadku bohatera książek Doyle'a, niejednokrotnie go zawodzi, sprowadza na wiodące donikąd ścieżki...

I w tym tkwi zresztą jedna z głównych różnic traktowania przez Umberto Eco swoich bohaterów. Ludzkich jednostek, które — przy całej swej ogromnej wiedzy, inteligencji i doświadczeniu — błądzą wśród gęstwiny znaczeń, znaków, prawd, jakimi wypełniony jest otaczający ich świat... Zupełnie inaczej, niż bohaterowie dziewiętnastowiecznych książek, odwołujący się do potęgi rozumu, który zdolny jest rozwiązać każdą ziemską i pozaziemską zagadkę.

Wilhelm z Baskerville wyjaśni w końcu kryminalną zagadkę. Ale dojdzie do tego dzięki przypadkowemu splotowi okoliczności, a nie dzięki logicznej interpretacji faktów. I później Adso do końca życia będzie się modlił do Boga, by sprawił,



żeby jego dawny mistrz zrozumiał, iż nie wszystko na świecie można wytłumaczyć przy pomocy rozumu...

Annaud położył w filmie główny nacisk właśnie na wątek kryminalno-detektywistyczny. Potrafił jednak zachować nastrój powieści Eco, nasycić film poważnym, intelektualnym podtekstem, który odbiera się nie tyle w padających z ekranu słowach, co w sposobie obrazowania, w kapitalnych zdjęciach, w scenografii, kostiumach, grze aktorskiej, genialnym doborze aktorów odtwarzających postaci mnichów. Doskonałą kreację stworzył tu Sean Connery (dawny bohater filmów o Jamesie Bondzie) w roli Wilhelma z Baskerville, oraz młody Christian Slater odtwarzający postać Adso z Melku. Zapada w pamięć scenografia, świetne dekoracje (notabene, większość wnętrza kręcono w do dziś istniejącym, średniowiecznym opactwie benedyktynów w Eberbach koło Frankfurtu nad Menem). Tylko ogromna praca scenografów w stworzeniu niezwykle bibliotecznego labiryntu nie przyniosła spodziewanych rezultatów.

Co się zaś tyczy tytułu: „Imię róży” to Umberto Eco zaczął go z fragmentu poematu średniowiecznego mistyka, Huberta z Roubaix: „Dawna róża trwa w nazwie, nazwy jedynie mamy”.

M. D.

## Czy Stalin był psychicznie chory?

**W**DYSKUSJI i artykułach publicystycznych poświęconych Stalinowi i stalinizmowi od czasu do czasu pojawia się też o chorobie psychicznej Stalina. Przeciw takim opiniom zdecydowanie występuje m.in. znany radziecki historyk, Jurij Afanasjew. Krytycznie ustosunkowując się do niektórych stwierdzeń D. Wolkogonowa powiedział on, iż w żadnym przypadku zbrodni stalinowskich nie można łączyć z jego domniemaną chorobą psychiczną, gdyż byłoby to wytłumaczenie najprostsze z najprostszych, podczas gdy w rzeczywistości — uważa on — ich korzenie tkwiły znacznie głębiej, w samym systemie stworzonym przez Stalina i jego otoczenie oraz całą armię pomniejszych „staliników” na niższych szczeblach zarządzania. Faktem jest jednak, iż hipoteza o chorobie umysłowej powraca z dużym uporem.

Temat ten podejmuje Oleg Morozow w artykule zatytułowanym „Ostatnia diagnoza”, opublikowanym na łamach „Litteraturnaja Gazieta”. Jak wynika z relacji autora, pierwszym, który miał postawić diagnozę o chorobie psychicznej Stalina, był znany psychiatra, Włodimir Bechtierow. Stało się to 22 grudnia 1927 r. Niedługo potem Bechtierow zmarł.

Lekarz, który podobno odważył się publicznie stwierdzić, iż Stalin cierpi na paranoję, należał do ówczesnych sław medycznych Związku Radzieckiego. Bechtierow — stwierdza autor — był lekarzem starej

daty, leczącym jeszcze rodzinę carską i mającym wstęp do pałacu carskiego. Po rewolucji całkowicie zaakceptował nową władzę. Był przyjacielem Kalinina i dwukrotnie badał Lenina w ostatnim okresie jego choroby na Kremlu i w Gorkach.

„Litteraturnaja Gazieta” cytuje wspomnienia najbliższych jego współpracowników. Jak wynika z relacji Władimira Miasyszczewa, który w 1939 r. został dyrektorem instytutu naukowego utworzonego przez Bechtierowa, w grudniu 1927 r. Bechtierow wyjechał do Moskwy, aby uczestniczyć w zjeździe psychiatrów i neuropatologów. Tuż przed samym wyjazdem otrzymał on telegram wzywający go do stawienia się możliwie najszybciej na Kremlu. Na obrady zjazdu przyjechał z dużym opóźnieniem i wtedy ktoś zapytał go o przyczynę. W obecności kilku osób rozdrażniony Bechtierow odpowiedział: „Badałem jednego suchorękiego paranoika”.

Być może, ktoś z obecnych doniósł o tym komu trzeba, albo też los Bechtierowa już wcześniej został przesądzony, faktem jest jednak, iż niedługo potem, nieoczekiwanie dla wszystkich zmarł. Wielu podejrzewało, iż nie był przypadkiem, nawet jeżeli wziąć pod uwagę, iż w tym czasie Bechtierow miał ponad siedemdziesiąt lat. Czuli się jednak znakomicie.

Oleg Morozow pisze: „Na podstawie opowiadania Miasyszczewa można przyjąć, iż Bechtierow był wzywany

na Kreml w związku z neurologicznymi schorzeniami Stalina, natomiast swoją diagnozę dotyczącą paranoi „wodza” postawił on niejako przy o-



kazji”. W tym kontekście autor cytuje wspomnienia Lidii Szatunowskiej, opublikowane w 1982 r. w Nowym Jorku, która w latach dwudziestych stykała się z wieloma osobami pracującymi na Kremlu i słyszała wiele plotek pałacowych. Według jej relacji w końcu lat dwudziestych Stalin wpadł w stan głębokiej depresji. Zaproszono wówczas Bechtierowa, który spędził ze Stalinem kilka godzin, a następnie na pytania otoczenia miał odpowiedzieć: „Diagnoza jest jasna, jest to typowy przypadek ciężkiej paranoi”.

Zdaniem O. Morozowa jest rzeczą wątpliwą i mało prawdopodobną, aby wzywano psychiatrę w związku z psychicznymi niedomaganiem Stalina, jest także wątpliwe, aby Bechtierow ośmielił się głośno wypowiedzieć swoją

diagnozę. Więcej niż prawdopodobne jest natomiast to — uważa O. Morozow — iż Bechtierow rzeczywiście nieopatrznie i z tragicznym dla siebie skutkiem pozwolił sobie na wypowiedzenie stwierdzenia, które jednoznacznie odniosło do stanu zdrowia Stalina.

Ostatnia diagnoza, jaką postawił Bechtierow, kosztowała go życie. O. Morozow przytacza wiele argumentów, dokonuje wnikliwej analizy dokumentów i wspomnień najbliższych, z których wynika, iż niedługo po pechowym dla siebie badaniu Stalina — został on po prostu otruty.

Autor stawia wprost pytanie, czy Stalin był psychicznie chorym człowiekiem? Jako dowód na to przytacza on opisany przez Bechtierowa przypadek ciężkiej paranoi jednego z jego pacjentów, który dokładnie odpowiada zachowaniu Stalina. Cytuje on poza tym wypowiedź radzieckiego psychiatry, prof. A. Liczko, który także uważa, że Stalin cierpiał na chorobę psychiczną oraz że diagnoza postawiona przez Bechtierowa — ciężka paranoja — była słuszna.

Objawem typowym dla paranoi jest m. in. okresowe występowanie ataków tej choroby w formie zaostrowanej. Z reguły powracają one sprowokowane trudnymi, stresowymi sytuacjami zewnętrznymi. Zdaniem A. Liczko, w przypadku Stalina ataki takie zaostrzały się w latach 1929—30, 1936—37, prawdopodobnie wystąpiły one także na samym początku wojny oraz pod koniec życia Stalina, w okresie tzw. sprawy lekarzy. W tych właśnie okresach represje były szczególnie zaostrzone, co też odpowiada objawom paranoi.

Jedną z jej cech bowiem — twierdzi radziecki psychiatra — jest nasilenie się manii prześladowczej w okresach nawrotu choroby.

Andriej Liczko opublikował w listopadzie 1945 r. artykuł w piśmie „Nauka i religia”, w którym opisywał objawy paranoi u Iwana Groźnego. Jak dziś twierdzi, pisał ten artykuł mając na myśli nie tylko przypadek Iwana Groźnego, ale również Stalina. Jego zdaniem, wszystkie cechy typowe dla zachowania i sposobu reakcji Stalina — jego okresowe głębokie depresje, mania prześladowcza i mania wielkości, przy zewnętrznie „normalnym” zachowaniu, odpowiadają właśnie paranoi.

„Nie wszyscy podzielają poglądy profesora Liczko na temat «choroby Stalina» — pisze O. Morozow. — Obecnie nasi psychiatrzy weszli w fazę liberalną. Po okresie, w którym byli oni gotowi uznać i ogłosić schizofrenikiem każdego, kto wychylał głowę ponad ocean komformizmu, dziś są ostrożniejsi w formułowaniu swoich sądów. Ostrożność ta dotyczy również i Stalina. No cóż, mają do tego prawo i można ich zrozumieć: brakuje pełnych i wiarygodnych opisów zachowania Stalina lub też ukryte są one gdzieś na dnie archiwów [...] A w ogóle — dodaje O. Morozow — byłoby dobrze ostatecznie wyjaśnić, czy rzeczywiście Stalin był chory. Z zapałem wszak rzucamy się na mniej znaczące «białe plamy», a tu chodzi o ważną sprawę... Ale weźmy rzecz całą z innej strony: jeśli Bechtierow miał rację i rzeczywiście Stalin cierpiał na paranoję — to co? Ostatecznie tyrania sama w sobie jest ciężkim schorzeniem, a słowo «paranoja» niewiele do tego dodaje”.



Dowolność zamiast kategorii

W 40 numerze „Tygodnika Kulturalnego” ukazał się artykuł Jana Walca o „Dziennikach” Marii Dąbrowskiej pt. „Pisać”...

wości wobec kosztownych wymagań polityki kulturalnej swojego czasu? A początkowo katolik, później he-

wypłatnego konkurentom w zawodzie. Jakby mówili: „Jakże musicie narazygnąć się z siebie pisząc pod dyktando polityków...”

Poczta literacka Stanisław Wojciech T. Bielski-Biala. Dziękuję za recenzję najnowszej książki Tadeusza Nyczki „Znawcy”...

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przzenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści autora...

Krzyżówka nr 22-szyfrogram literacki. Grid with numbers 1-187 and corresponding words to be placed.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski. Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji)...

